

KOSMY KRONIKA CZESKA

(1045—1125)

Obyczaje dawnych Czechów

Jakie obyczaje mieli dawni Czechowie, jak byli poczciwi, prości i przedziwnie szlachetni, jacy byli sobie wierni i miłosierni dla bliźnich, ile mieli spokoju, trzeźwości i panowania nad sobą, nie uwierzyliby dzisiejsi ludzie, chodzący zupełnie innemi drogami, i gniewaliby się na tego, ktoby im chciał prawdy dowieść. Omijamy więc przygany, a opowiadamy to, co prawdą jest o sposobie życia w starodawnych czasach. Szczęśliwe to były czasy, ludzie byli zadowoleni ze skromnych sposobów do życia i nie nadeńci hardością i pychą. Nie znali darów Cerery ani Bachusa, gdyż nawet ich nie było. Na obiad zaspokajali głód żołądziami lub zwierzyną. Niezamaćcone źródła dawały im zdrowy napój. Wszystko mieli wspólne: blask słońca i świeżość wody, łąki i gaje, a także małżonki.

Wełny ani lnu nie potrzebowali na odzienie, w zimie nosili skórę z dzikiego zwierzęcia lub owcy. Nikt nie znał słowa «to moje», gdyż, tak jak mnichy, wszystko, co mieli, uznawali sercem i ustami za nasze. U obór nie było zasów ani nie zamknięto drzwi przed potrzebującym, ponieważ nie było ani złodziei, ani rozbójników, ani potrzebujących. Nie znano większej zbrodni niż kradzież i łupiestwo; broni żadnej nigdy nie widzieli, mieli tylko łuki, i to do zabijania zwierząt. Co dalej? Ach, niestety! dobre poszło naopak, własność powszechna stała się własnością prywatną: bezpieczne ubóstwo, niegdyś miłe, odrzucili, jak zablocony kół z płotu, ponieważ chciwość posiadania rozgorzała we wszystkich silniej niż płomień Etny. Zło wzmagало się codzien, a krzywdę, której przedtem nikt czynić nie potrafił, lub przypadkiem sobie uczynioną, jeden od drugiego cierpliwie znosił; nie można nawet nikomu się było skarżyć, nie było sędziów ani książąt. Więc potem poczciwszy, lepszych obyczajów, a ważniejszy swem bogactwem w rodzie lub pokoleniu stawał się sędzią, do którego bez siepaczy, bez pieczęci, lecz z dobrej woli przychodzili radzić się o rzeczy wątpliwe lub skarżyć na uczynioną sobie krzywdę.

GOSPODZINIE, ULITUJ NAS!

(XII w.)

Gospodzinie, ulituj nas!
Jezu Chryste, ulituj nas!
Ty, zbawco wszego świata,
Wybaw nas i wysłuchaj,
Gospodzinie, głosy naszej!
Daj nam wszem, Gospodzinie,
Pokój na ziemi,
Krlesz!

ŚWIĘTY WACŁAWIE!

(XIII w.)

Święty Wacławie,
Wojewodo czeskiej ziemi,
Książę nasz,
Proś za nas Boga,
Świętego Ducha, Kyrje elejson.

Pięknie na niebieskim dworze,
Szczyście temu, kto tam pójdzie
W żywot wieczny,
Ogień jasny
Świętego Ducha, Kyrje elejson.

Pomocy Twojej żądamy,
Zmiłuj się nad nami,
Uciesz smutne,
Odzeń wsze zło,
Święty Wacławie! Kyrje elejson.

(XV w.)

Masz w dziedzictwie czeską ziemię,
Wspomnij sobie na tve plemię,
Nie pozwól zaginać
Nam i potomnym,
Święty Wacławie! Chryste elejson.

Matko, matko kochająca,
Tyś królowa wszechmogąca,
Prośże za nas,
Za chrześcijany,
Świętego Ducha, Chryste elejson.

MISTRZ JAN HUS

(1369–1415)

WYKŁAD DZIESIĘCIORGA BOŻYCH PRZYKAZAŃ

O bałwochwalstwie

Pierwsze przykazanie boże jest to: Nie będziesz miał Bogów innych. Tem przykazaniem zabrania Pan Bóg i zakazuje bałwochwalstwa; a żebyś zrozumiał właściwie, mówi Pan Bóg: «Nie będziesz miał bogów innych przede mną. Nie uczynisz sobie obrazu ani tego, co jest na niebie na górze, ani co jest na ziemi w dole, ani tych rzeczy, które są w wodzie pod ziemią! Nie będziesz się przed nimi modlił ani kłaniał, gdyż ja jestem Pan Bóg twój, wielki, żarliwy, przechodzi mój gniew z ojców na syny aż do trzeciego, czwartego pokolenia tych, którzy mnie nienawidzą, a tysiąc-krotne miłosierdzie czyni tym, którzy miłują mnie i zachowują przykazania moje».

A więc w mowie tej zabrania Pan Bóg bałwochwalstwa, najpierw stworzonych duchów niewyczuwalnych, gdy powiada: «Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną». A mówi «przede mną», gdyż czy człowiek myśli choćby najskryciej, modli się lub kłania djabłu, to wszystko znane Panu Bogu, który wszystkie sprawy zna i na nie patrzy; przeto doskonale określa to — «przede mną».

A wiedz, że Bóg jest jedyny, jak powiedziano wyżej, ale słowa «bogowie» używa się dlatego, mówiąc o bałwanach lub djabłach, że tak nazywali ich ludzie i mieli za bogów, że ponoć przyszłe rzeczy dobrze przepowiadali; a słowa cudze lub inne używa się dlatego, że bogowie ci odłączyli się od prawego Boga przez pychę. Przeto ci ludzie, którzy dla rzeczy doczesnych, dla powodzenia spraw osobistych, dla dowiedzenia się przyszłości, tajemnic lub innej przyczyny mają do usługi duchy spodłone albo z nimi rozmawiają, tacy mają bogi cudze, nietylko przed obliczem Boga, który wszystko widzi, ale że tych bogów przekładają nad Boga prawego. A gdy w Piśmie wymienia się Pan lub Bóg, rozum ma skłaniać się wnet ku Panu Bogu, który jest Bogiem nad bogami i Panem. Człowiek uważa za dobre to, co najwięcej miłuje, więc wiele jest bogów, pisze święty Paweł w listach do Koryntjan. Djabeł zowie się bogiem namiętności, brzuch łakomych jest ich bogiem, także chciwość ma swego bałwana, krótko mówiąc, cokolwiek człowiek najwięcej miłuje — to obiera za boga swego. Przyczyna jest taka: Bóg jest najwyższym dobrem; przeto każde rozumne stworzenie powinno

najwięcej to dobro miłować i rozumem, myślą, wołą, pożądaniem ku niemu się zwracać. Ale ponieważ ku innej rzeczy bardziej ciągnie je pożądanie, niż ku temu największemu dobru, więc tę rzecz przekłada nad Boga, choć ustami twierdzi, iż Bóg jest największym dobrem; a mówiąc tak, kłamie, bo skutek umiłowania wskazuje na co innego.

I tak po prawdzie ujrzymy, że niektórzy mają jastrzębie, rarogi, sokoły, krogulce, psy, konie za bogów, jako myśliwi; niektórzy woły, krowy, owce, świny, jako mieszczanie i wieśniacy; niektórzy złoto, srebro, jak wszyscy chciwcy; niektórzy kobiety, jak wszyscy lubieżnicy. I tak nazwani chrześcijanie, prawdę mówiąc, są często bałwochwalcami, jak poganie; gdyż podług słów świętego Hieronima i innych świętych «cokolwiek ktoś najbardziej miłuje, to ma za boga swego». I tak pyszny lub czci świata chciwcy modli się do podobieństwa rzeczy, które niebiańskie są, a spadnie nadół, gdyż wraz z lucyperem miłuje nad wszystko wywyższenie lub niegodnie zdobyte dostojęństwo. Chciwiec modli się do podobieństwa rzeczy ziemskich; przeto mówi święty Paweł, że chciwość jest bałwochwalstwem. Lubieżnik i zezwierzęcały modli się do podobizn rzeczy, dających rozkosze zmysłowe, jak rozpusta i obżarstwo; przeto mówi święty Paweł, że bogiem ich jest brzuch i chwala pogańska. A ponieważ w ten trojaki sposób ludzie bardzo grzeszą, miłując nad Boga te grzechy, przeto mówi święty Jan: «Nie żyjcie dla miłości świata ani tych rzeczy, które na świecie są, albowiem kto miłuje świat, niema w nim miłości Ojca; gdyż wszystko, co na świecie jest, jest albo pożądliwością ciała, albo pożądliwością oczu, lub pychą żywota». A wymienia święty Jan to, co ludzie kochają najwięcej, przestrzega, aby świata i innych rzeczy świata chrześcijanie nie miłowali bardziej niż Boga, jak to czynią rozpustnicy, chciwcy i ludzie pyszni; gdyż przez pożądanie ciała wyraża rozpustę, przez pożądanie oczu wyraża chciwość, a pychę wymienia osobno na trzecim miejscu. A z tych trzech grzechów, jako z trzech korzeni lub studni, czerpią źli ludzie wszelkie inne grzechy.

I zapewne, gdy sami spojrzymy w naszą duszę, spostrzeżemy prawdę, że większą część nas, chrześcijan, związana jest z bałwochwalstwem; bo patrzymy, czy nie pilniej kłaniamy się, modlimy i kłękamy przed bogaczami tego świata, niżli przed Panem Bogiem, i to dla cielesnej, doczesnej, małej korzyści więcej, niż dla ich szlachetności lub korzyści duchowej. Spójrzmy na księży, czy nie bardziej pilnie wykonywają oni służbę wobec innych księży lub panów, niż wobec Pana Boga? Tak samo i świeccy. A nietylko ci zachowują się jak bałwochwalcy, ale i tamci, którzy takie kłękanie przyjmują chciwie, zwłaszcza zaś duchowni, nie pamiętając, że apostołowie i inni święci zabraniali przed sobą kłękać. Także w bałwochwalstwie lubuje się wiele kobiet, strojących się, jak bogini Diana, każących przed sobą kłękać, żądających tego, znajdując w tem dziwne upodobanie.

Grzeszą także tem, że robią z siebie obrazy, jak ów, który dodawał wełny do kabatu, aby się wydać piersistym, a więc mocnym i śmiałym. Też kobieta, malująca się lub przystrajająca w cudze włosy, lub zbyt o nie dbająca, chce się niemi więcej ludziom niż Bogu podobać. O takich święty Jan Złotousty mówi, że czynią krzywdę świętej Trójcy; że tak czyniąc, dodając lub ujmując coś swej postaci, w rzeczywistości wskazują, że Bóg Ojciec nie mógł, Syn Boży nie umiał, a Duch Święty nie chciał dobrowolnie tego człowieka lepszym stworzyć. I choć nie mówią tego ustami, okazują to czynami, że chcą lepszymi twórcami, nie mówię twórcami, niż Pan Bóg zostać; może nawet niektórym przyjdzie na myśl, że oniby, gdyby mieli możliwość, lepiej stworzyli; i zapewne nigdy nie uświadomią sobie, że należałoby tego błazeństwa pożałować i poczuć się jako bałwochwalcy winnymi wobec Boga.

PIEŚNI ŻAKOWSKIE

DETRIMENTUM PATIOR

Detrimentum patior,
Po najdluższe czasy,
Usque ad mortem patior
Z powodu jej krasy.

Regitur nunc ratio,
Wždy wedle twej woli,
Obnixa turbatio,
W sercu mojem boli.

Nam eius absentia,
Mnie smutnego pali,
O felix essentia,
Gładkość każdy chwali.

Velut solis radius,
Wzrokiem w serce wnika, —
Eminens ut gladius,
Tęskność mię przenika.

Coeli sub cacumine,
Niemasz gładszej twarzy,
Zodiaco fulmine,
Jako słońce jarzy.

Electa cordis unica,
Nie daj zginąć marnie,
Tua ut suat punica,
Tęskność mnie ogarnie.

Careo hoc famine,
Bych zyskał swobodę,
Vale in Dei nomine,
Gdyż poniosę szkodę.

PIEŚŃ ZAWISZOWA
(Wyjątek)

Wszelka radość już przestaje
I uciechy wszelkie giną,
Tęskność krwawo serce kraje
Za najmiłszą mą dziewczyną.
Swem spojrzeniem poprzez oko
W serce rani mnie głęboko,
Żarka tęskność mnie napada
Tęskność na nic suszy kości,
Wszystko to dla jej gładkości,
Iż tak silnie mną owłada.
Serce boli,
We krwi silnie się pławi,
Wybawi
Mnie twa łaska, najmilejsza, niech się stanie,
Dla mnie gwoli,
Nie chcę żyć, więc dzień mój krótki,
Gdy żrą smutki,
Więc, najdroższa, racz mi dać swe zmiłowanie.

PIOTR CHEŁCICKY
(1390—1460)

POSIEW PRAWEJ WIARY

Stan miejski swemi nieprawościami rwie sieć wiary

Początek miast i powstanie grodów pochodzi od Kaina, a to z powodu morderstwa, lupieży i gwałtu, gdyż Kain z nienawiści zabił brata swego Abła, stał się zbiegiem i tułaczem na ziemi, bojąc się o życie. Dlatego zbudował pierwsze miasto, a potem inne lupił i gwałt im czynił, temi lupieżami się wzbogacił i złych ludzi sobie dobrał, ażeby bronić się przed tymi, których złupił.

Dlatego morderstwo jego było powodem powstania miast, a miasta jego żyły z bezprawnych rabunków, walcząc z tymi, którzy bronili swego dobra lub chcieli je odebrać. A ponieważ miasta mają początek w Kainie, przeto są w nich mordercy i rabusie, lichwiarze, kupcy, handlarze, szachraje, żyjący przeważnie z nieuczciwości i chciwości. Dlatego, zakładając miasta i grody, oparte na krzywdzie i przygotowane krzywdę czynić i od innych ją znosić, w każdej chwili gotowi są do znoszenia bezprawi i zdrady

od innych i, odpłacając za to chętnie, przelewają krew za krew i oddają krzywdę za krzywdę, aż dojdzie do tego, iż się tak zaplączą, że tylko we krwi i łupiestwie żyją, przygotowując się do tego i obronę przyprawiając. A jeżeli nie mają dość siły i śmiałości, ażeby innych łupić i rabować, gotują się do obrony mienia swego przed innymi. Dla zachowania więc życia i dostatków swego miasta przelewają krew i sami dają się zabijać. Mieszczanie zatem i ludzie herbowi, zamieszkujący grody, twierdze i miasta, zawsze kąpią się we krwi brata swego. Odzywa się ciągle natura Kaina, pierwszego mordercy; dlatego żyją w miastach w wiecznym niepokoju, gdyż, założywszy je i obsadziwszy mnóstwem ludu, drżą i czuwają w nocy i we dnie, ażeby ich nikt nie zabił i mienia ich nie zrabował. I niech tylko zjawi się ktoś podejrzany, wnet uderzeniem w dzwon zwolują wszystkich zamieszkujących miasto do walki. Jeżeli schwytają złodzieja lub zdrajcę, nie darują mu ani nie uspokoją się, dokąd nie przeleją krwi jego.

Ustawy miejskie, dążące do ochrony życia i mienia mieszkańców, postanowiły karać śmiercią każdego, kto by na to godził, jakżeż więc może się tam ostać przykazanie boże, nakazujące miłość bliźniego. A dla pokoju swojego i dostatku, który chcą za murami w pewności zachować, nie wahają się niektórzy gwałt czynić i łupić, inni potwarze rzucić i okłamywać, przeciwników swoich gnębiąc i na gardła ich nastając. Dlatego więc, obwarowując się i okopując, aby nie cierpieli bezprawia na życiu i statku, muszą zawsze złem za złe odpłacać; przeto odrzucają te wszystkie przykazania, które nakazują chrześcijanom cierpliwość i zakazują pomsty: «Nie broncie się sami, najmilsii», gdyż mówi Pan Bóg: «Do mnie należy pomsta i ja wam zapłacę. Jeżeli zatem jest spragniony nieprzyjaciel twój, napój go, a jeżeli jest głodny, nakarm go!» Lecz jakże mogą zachowywać te przykazania ludzie, szukający za murami spokoju w dostatku i w bezpieczeństwie życia.

A ileż pomiędzy nimi jest bezprawi. Swarzą się w sądach, z prawdy często czyniąc nieprawdę, przestępują przykazanie Chrystusa, który każe przydać płaszcz do sukni i zaniechać swarów w sądach. Dlatego nie zachowują żadnego przykazania, tycającego się Boga i ludzi, chowając się za mury i żyjąc w oszustwie, nie tak jak rzekł ulubiony uczeń Jezusa: «Łaską bożą jest chodzić w przykazaniach Jego». A nie można mieć łaski bożej, jeżeli się nie zachowuje przykazań Jego. A jeżeli ani jednego przykazania nie zachowują w gromadzie miejskiej, nie mają łaski bożej ani jej mieć nie mogą, żyjąc w wielu przestępkach i w takim zaplątaniu, że z żadnej strony przykazanie boże nie ma do nich dostępu. Dlatego groźną rzecz mówi o nich prorok: «Widziałem złość i rzeczy odrażające w mieście; we dnie i w nocy w murach jego pracuje złość, niesprawiedliwość i przemoc; z ulic jego nie schodzi lichwa i kłamstwo». Dość twarde zdanie i niepiękna opinia dla tych, którzy pragną wszystko robić uczciwie; niechże za to odpowiadają tuczni i mądrzy radni miasta! Gdyby im kto równy posłał taki list do rady, dopierożby się nadeły te serca pychą przerosłe, rzekliby: «Gani dobrych, gani panów z ratusza». Przeto prawdę twierdzi to pismo, że dzieje się zło i rzeczy odrażające w mieście, złość wszelkiego pokolenia, wstrętna Bogu, bo w takiej mnogości ludzi, spojonych oszukańczo, nie ostaje się żadne przykazanie boże ani może się ostać w warunkach, na jakich spojona jest wielka ilość mieszkańców miasta: nie może w zamysłach ich pozostać ani jedno przykazanie boże. A ponieważ nie zachowują w mieście przykazań bożych, przeto przestępują wszystkie.

JAN BLAHOŠLAV

(1523—1571)

Z FILIPIKI PRZECIWKO NIEPRZYJACIOŁOM WYŻSZEGO
WYKSZTAŁCENIA W JEDNOCIE BRATERSKIEJ

Jest i było obyczajem pewnych dość wielkich mężów przypominać słowa ś. p. brata Łukasza, który miał wyrazić się o swych pismach: «Nie napisałem niczego, czego bym w Jednocy nie znalazł». Więc wyłożyli to sobie tak, że brat Łukasz nic nie brał z doktorów kościoła, ale wszystkiego nauczył się w Jednocy. W zeszłym roku

przypominał mi to brat Augusta. Jasne jest, że ci, którzy tak tłumaczą dzieła brata Łukasza, nie rozumieli i nie rozumieją jego słów. Och, gdyby brat Łukasz je słyszał, pięknieby im podziękował! Gdzie jest św. mąż, brat Wawrzyniec Krasonicky, aby im to wyjaśnił ustnie i przekonywająco, co napisał w swych książkach, a czego oni nie będą czytać z powodu swej małostkowości i lekkomyślności?

Ale skoro niema tych, którzyby mogli powiedzieć coś użytecznego, ja napiszę to, co mam na myśli.

Miała Jednota braterska za życia brata Łukasza wielu przeciwników; przeciwko nim musiał on występować z polecenia starszych. I pisać musiał w ten sposób, ażeby nie podburzać więcej, nie otwierać bramy nieprzyjaciółom Jednoty, lecz każdego przeciwnika, jednego w ten sposób, innego w inny, do milczenia i spokoju zmusić. Wiesz, jak się zachował wobec niektórych ingratissimus. Byli ludzie, obawiający się, że on znowu do Rzymu, do dokatorów etc. pojedzie. Przeciwno temu głupiemu i fałszywemu o nim pojęciu musiał mówić rzeczy, któremi by im mógł zamknąć usta. I prawdę mówił brat Łukasz, że nie pisał nic poza tem, co w Jednocie znalazł; znalazł prawdę w idei i służbie, pisał o tej prawdzie, zdobył ją, rozszerzał jej znaczenie, na wszystkie strony rozkładając jej gałęzie.

Tej prawdy, jak najlepiej mógł i umiał, jak go Duch Pana nauczył, bronił i zasłaniał, jakkolwiek mocno, jednak bardzo roztropnie. Ale kto ma oczy, może widzieć wstecz to, że brat Łukasz był długie lata w szkołach żakiem i gradum, stopień i urząd zwykły postępujących w wiedzy siedmiu sztuk, przyjął, był bakalarzem w kolegjum w Pradze, a będąc człowiekiem pilnym, nietylko zajmował się sztuką, ale myśl swoją zwracał do spraw chrześcijańskich. Księgi łacińskie starych nauczycieli kościoła, Augustyna, Hieronima, Cyprjana i innych nowszych doktorów, czytał, świadom był dekretów, dialektykę i retorykę umiał i niemało był w niej wyćwiczony, czego jawnym dowodem jest jego pismo: «O powtórzeniu chrztu», drugie «O poklonie», trzecie drukowane większe dzieło przeciwko Čižkovi.

Oczywiście niewykształconym łacinnikiem, niedbałym czytelnikiem i niezającym nauczycieli kościoła musi być człowiek, który, czytając pisma brata Łukasza, nie zrozumie, że był on uczony, świadomy doktorów kościoła starych i nowszych; bo skądby brał definicje, dewizy, rozmaite słowa i frazesy nie Czechom, ale łacinnikom zwykle i zrozumiałe? Który z łacinników nie widzi, co skąd, od którego doktora wziął, nieraz i całe sentencje w słowach łacińskich przytaczał, często przypominał doktora, będącego ich autorem, często zaś bezimiennie. De formis argumentorum, używanych przeciwko nieprzyjaciółom, nie potrzebuję wiele przypominać.

Ale pewno powiecie, że ja naukę i uczonych chwale. Tak jest. Pochwalam wiedzę i uczonych ludzi, ale nie chwale tych, którzy wiedzy lub nauki do złego używają. Dla przykładu mówię: Chwalimy wino, chwalimy także picie lub używanie wina, ale pijaństwa i pijaków nie chwalimy i w sumie nie chwalimy złego używania dobrych, od Boga danych rzeczy; abusus non tollit rem. Dobry jest miecz, lecz jednemu dobrze, drugiemu źle usłużyć może.

Może powiesz jeszcze: «Zbyt dużo przypisujesz nauce i uczonym, jak pewni dobrzy ludzie mówią: przez uczonych nauka opanowała Kościół, mogłoby się to stać i w Jednocie». Respondeo: «Ten zbyt dużo sztuce i nauce przypisuje, kto sądzi, że bez znajomości siedmiu sztuk etc. nie może prawda boża, to jest ewangelja, być głoszona albo, żeby od nauki i sztuki zależało zbawienie». Ale któż to mówi? Musiałby być prostakiem.

Ja twierdzą, że głoszącym słowo boże potrzeba przedewszystkiem wrodzonego daru, to jest wymowy, ażeby mogli uczyć, napominać, ostrzegać etc. Dawał kiedyś Pan sługom swoim dar tak cudownej wymowy, że nie potrzebowali się uczyć; ale potem ustały dziwy i cuda. A ponieważ Duch Święty poznał, iż wymowa potrzebna jest w Kościele, trzeba więc nauczyć się jej, kto i jak może, bo kto by chciał oczekiwać aż mu cudownym sposobem Bóg ześle z nieba dar wymowy, czyniłby jak rolnik, który nie sieje i nie orze, ale czeka, ażeby manna spadła mu z nieba.

A cóż innego czynią nasi młodzieńcy, gdy uczą się kazania? Co innego, mówię, czynią, jeśli nie uczą się pobożności i znajomości prawdy bożej, a także wymowy? Zdarza się też, że niektórzy młodzieńcy lepiej mówią, nie znając łaciny, niż uczeni

łacinicy. Jakkolwiek jest pewne, że gdyby umieli łacinę, świadomi byli retoryki i dialektyki, byłiby o wiele bystrzejsi, zdolniejsi i bardziej na wszystko gotowi, a zatem i użyteczniejsi. Naprzykład osądźciel Kamień drogi, lub perła, kształtnie i mistrzowsko oszlifowany i wypolerowany, jakże różni się od tego, który nie był szlifowany ani polerowany.

Śmieszne jest mędrkowanie niektórych naszych ludzi, dowodzących, ażeby człowiek robił to, czego się uczył. Jak głupia sekta «Mikulaszeńców» najchętniej słucha tych kaznodziejów, którzy nietylko nie są uczeni, ale często czytać nie umieją; bo podobno każą oni nie podług litery, ale z ducha. Ale w tem niema dziwu, bo pokarm baranków i owieczek bożych niezbyt smakuje świniom; świnie chętniej jedzą pośląd, lub coś mniej wonnego, niż trawę.

Kto pogardza nauką i sztuką, podobny jest do człowieka, któryby chciał szyć suknie i kabaty, nie nauczywszy się krawieckiego rzemiosła, ba, nawet nim pogardzając. Czy wieleby dokazał taki mądrala? A ten, kto by takiemu krawcowi oddał do roboty szaty, pominałszy zdolnych i uczonych rzemieślników, czy dobrzeby na tem wyszedł? Doszłoby do tego, że dobrzy i wprawni krawcy wściekliby się ze złości i robiliby naprzekór temu, kto by ich zapotrzebował.

Na gadanie pewnych ludzi, że uczeni są niepotrzebni i niebezpieczni, nie trzeba długiej odpowiedzi. Ludzie ci twierdzą to, czego nie rozumieją i o czem nie wiedzą. Gdyby mieli wskazać, gdzie się pokazało zgorzenie, kto był temu winien — uczoney czy nieuczony, nie umieliby odpowiedzieć.

A jeśliby się nawet zdarzyło, że wykształceni ludzie źle naukę rozsiewali, to czyż winna temu nauka? Tak, bywa czasami, że człowiek mocy, udzielonej mu przez Boga, na złe używa, przesładuje dobrych, a ochrania lotrów; czyż dlatego zła jest moc i władza?

Brat Wawrzyniec Krasonicky pisał o tem, że przed sześćdziesięciu laty o mało nie zesła Jednota na złe drogi. I oczywiście nie z powodu uczonych i nauki, ale z powodu laików i braku oświecenia w prawdzie bożej, a przywiązywania zbyt wielkiej wagi do drobnostek. Powtarzało się to dwukrotnie: 1. W złych uczynkach, 2. W złych i fałszywych pojęciach. Lecz w obu wypadkach Pan Bóg zapobiegł złemu. I zgadnij za czyją pomocą? Juźci nie zapomocą laików, lecz zapomocą uczonych i pobożnych (gdyż nauka bez pobożności jest jak miecz w ręku warjata).

Czy Jednota zejdzie na złe drogi, czy też nie, czy przyczynią się do tego uczeni, czy też laicy, powiedzieć nie umiem, gdyż nie jestem prorokiem ani synem proroka, nie potrafię przepowiadać ani prorokować. Ale ponieważ się tego inni, także niemający ducha jasnowidzącego, obawiają, powiem, co mi ciągle na myśl przychodzi. W sumie, nie boję się tego, ażeby uczeni i pobożni byli przyczyną zgorzenia w Jednocie, raczej trwożą przejmuję mnie myśl, że ludzie zarozumiali, pyszni, nieustępliwi, niespokojni, nowinkarze, chciwi sławy mogą zgubić Jednotę.

Dlatego zgadzam się z tem, co napisał brat Łukasz:

«Jeśli przodownicy Jednoty stać będą w prawdzie i sprawiedliwości, Pan Bóg błogosławi ludowi temu etc. Czyli: dokąd na miejsca te nie dostanie się (mowa o najprzedniejszych urządach) świat, ciało i antychryst, ale duch Chrystusa podtrzymywać je będzie, dobrze jest. Lecz jeśli po śmierci dobrych, wiernych, szczerych uczonych lub nieuczonych przyjdą ludzie bez sumienia, głupi, niedoświadczeni lub chytry, podstępni uczeni lub nieuczenni, wówczas biada Jednocie».

Z. B. 1567 febr. 18 in horto.

KRZYSZTOF HARANT Z POLŽIC A BEZDRUŽIC (†1621)

PODRUŽ DO WENECCI A STAMTAD DO ZIEMI ŚWIĘTEJ

Miasto Wenecja powstało po narodzeniu Chrystusa Pana w roku 407, za czasów Arkadiusza i Honorjusza, cesarzów greckich, gdy Radagasus, król Gotów, wpadł z dwustu tysiącami wojska do ziemi włoskiej, wszystko, co spotkał, palił, mordował i niszczył.

A wówczas wielu ludzi rozbiegło się po wyspach, na których teraz miasto stoi. Skryli się u rybaków, osiadłych tam już pierwej, i pozostali do czasu, gdy nieprzyjaciół odciągnął zpowrotem, pobity. W roku 413, skoro Alaricus, król Wizygotów, w ten sam sposób wpadł do Włoch, zdobył i zniszczył miasto Rzym, ci sami ludzie i wielu innych, co najprzedniejszych, znów na te wyspy uciekli i wreszcie wielu osiadło na miejscu, zwanem do dziś Rivalta, reszta zaś, po odejściu nieprzyjaciela, powróciła do miast. Wreszcie w roku 453 ze strachu przed Attylą, królem węgierskim, który zawojował niemiecką i włoską ziemię, a także zajął i splądrował wiele innych krajów (dlatego nazwano go flagellum Dei, to jest biczem lub miotłą bożą), tak wiele ludzi na wspomniane wyspy się udało, nagromadziwszy mnóstwo rzeczy, że założyli prawie miasto nazwali je mianem otaczającego je ludu, Venetia.

Wenecja leży na wyspach jeziora lub zatoki morza Adrjatyckiego, naprzeciw rzeki Brenta, po włosku, po łacinie zaś Medoacus nazwanej, która do tego jeziora wpada i w niem ginie. Właściwie jezioro to jest częścią morza Adrjatyckiego, lecz jest bardzo płytkie i spokojne z powodu wzgórz i wysp, oddzielających je od wielkiego morza, tak że woda morska przedostaje się tam tylko kilkoma miejscami (zwanymi portae, bramy), jakby słuzami, dobrze zaopatrzonemi przeciwko burzom i napadom nieprzyjaciół. Gdyby nie kilka rzek, które do niego wpadają, jezioro to miałoby mało wody.

Niektórzy przyrównują położenie brzegów terrae firmae lub continuae, to jest: od strony ziemi włoskiej wygięte są w luk, tamy zaś lub te wysepki z drugiej strony wielkiego morza podobne są do cięciwy. Woda w jeziorze jest tak płytka, niespławna, że jeździć po niej można tylko małemi łódkami, w wielu miejscach zaś nawet łódka nie popłynęłaby, gdyby nie wykopano w tym celu kanałów. Ktoby więc chciał na Wenecję z tej strony napaść, musiałby od lądu aż do miasta albo z łodzi, albo z pni drzew ułożyć most, ażeby przezeń przeprowadzić wojsko. Ale przy tem miałby rozmaite trudności; w niektórych miejscach nie znalazłby tak szerokiego miejsca, aby rozstawić łodzie lub pnie, a potem most taki trwałby niedługo z powodu niestałości wody, która w niektórych godzinach przyplywa, to znów odpływa, miotałaby więc tu i tam tym mostem, ażeby go rozerwała lub poniosła. A skądby wziąć tyle łodzi lub drzewa, a jeszcze tak wielkich rozmiarów, ażeby mogły podźwignąć ciężar amunicji i żołnierzy? Weneckie gondole nie uniosą ciężaru; wskutek tego Wenecjanie nie dopuściliby nikogo do miasta, strzelając zdaleka wielkimi kulami, ażeby nic nie płynęło po wodzie, a ze stu sztuk wielkich strzelb zawszeby jakaś szkoda wypadła. A przytem od strony terrae firmae musiałby nieprzyjaciół zdobyć i opanować sześć głównych twierdz i wielkich miast, jak Padwa, Tervis, Werona, Brea, Bergamo i Crema, a także kilka mniejszych. Z drugiej zaś strony jest wyniosła i sławna na całe chrześcijaństwo twierdza Palma, w okolicy Forojuliensi, w r. 1594 zbudowana przez Wenecjan. Zresztą, gdyby nieprzyjaciół chciał bez mostu na tratwach lub łódeczkach dostać się do miasta, tyle ich nie dostanie, a gdyby i dostał, to skądby wziął ludzi dobrze znających strugi i kanały, aby mógł z szykiem i hucznie wjechać do Wenecji. A jeśliby chciał zabrać artylerję, musiałby ją przeprować na wielkich łodziach, promach lub tratwach, lecz z powodu wąskości niektórych kanałów nie zdołałby przez nie przejechać ani wydobyć się z tej gmatwaniny, ani swobodnie się poruszyć; tymczasem zaś strzelanina z miasta nieźleby mu przeszkadzała.

A ktoby wsadził armję na wielkie okręty, od strony morza musiałby przepływać przez wyżej wspomniane bramy, aby się dostać do kanału lub jeziora; a tu z dwóch stron wznoszą się tak dobrze naszpikowane bronią fortece, że rozpedziłyby zapewne najlepszą armję. A gdyby nawet i bramy zdobył, to na jezioro wpłynąłby tylko jednym okrętem, a wkoło Wenecjanie otoczyliby okręt z okopów i okrętów i rozstrzelaliby wszystko doszczętu; a gdyby jeden okręt zatopili, przepadłaby cała armja, bo poza bramami jest tylko jeden kanał do miasta możliwy dla wielkich okrętów, a skądinąd przystępu niema. Suma sumarum jest to miasto nie do zdobycia, lecz, ponieważ nie ma ziemi, mogłoby się poddać z głodu, gdyby kto zabronił Wenecjanom z silnemi armjami wypadać na morze, najeżdzać okoliczne kraje, dosięgać aż do Turcji i zaopatrywać się w zboże. Założyciele Wenecji musieli to mieć na względzie, budując miasto w odległości dziesięciu mil włoskich od wielkiego morza i jego bram. Z tej przyczyny nie-

tylko jest większe bezpieczeństwo przed napadami wrogów i rozbójników, ale także bliskość ziemi ułatwia miastu otrzymywanie świeższej i tańszej żywności, jak zboże, warzywa, owoce i słodka woda, bo tylko pięć mil włoskich oddziela Wenecję od lądu. A do tego mieszkańcy im bliżej są ziemi, tem lepsze i zdrowsze mają powietrze, inaczej zaduch morski i okolicznych bagien dawnoby ich stamtąd wypędził; patrząc jednak na starych ludzi, których tam jest mnóstwo, widzi się, że w odróżnieniu od innych miast, wystawionych na mokradłach, musi tam być zdrowe powietrze.

Miasto dzieli na dwie części wielki kanał, Canale Grande, mający kształt litery S, długi 2.500 geometrycznych kroków, a szeroki czterdzieści kroków. Nad nim wznosi się tylko jeden most kamienny z jednym sklepieniem, ale tak wysoki, że pod mostem przejdzie okręt z maszt-baumem, a dwie galery z założonemi wiosłami mogą się minąć, podczas gdy pod pruskim mostem zaledwie jedna się zmieści. Z tego kanału rozchodzi się po mieście trzynaście mniejszych kanałów, po których na łódeczkach, nazwanych gondolami, tu i tam pływają; miejscami są obmurowane wybrzeża, po nich można przejść suchą nogą, a na drugą stronę kanału prowadzą kamienne lub drewniane mostki, których jest do 450.

Większa część miasta stoi w wodzie na palach, reszta na wysepkach, tak że ludzie więcej muszą pływać po wodzie, niż chodzić po ziemi. Zamożniejsi mają swe własne gondole, przywiązane przy drzwiach, na których płyną, gdzie chcą; inni mogą za pewną ustanowioną sumę nająć gondolę na mieście. Niektórzy twierdzą, że w Wenecji znajduje się 3.000 gondol, inni, że aż 4.500.

Miasto ma objętości ośm mil włoskich, kościołów farnych 62, klasztorów 41, z nich siedemnaście dla płci męskiej, reszta żeńskich; szpitali siedemnaście, kapliczek osiemnaście; mnóstwo pięknych, z marmuru zbudowanych pałaców, zwłaszcza z obu stron wielkiego kanału i nad wodą; w innych miejscach, gdzie ulice są bez wody, wskutek ich wężyny, nie spostrzega się tak wysokich domów, nie są też tak zaludnione.

Tłum. Marja Bunikiewiczowa.

WACŁAW WRATISŁAW Z MITROVIC

(1576—1635)

ŻYCIE W CZARNEJ WIEŻY

Jest tam wieża bardzo wysoka, ale niezbyt obszerna, tak że zaledwie nas dwudziestu dwóch i tych, którzy już byli, czterech, razem dwudziestu sześciu, obok siebie położyć się mogło, i to dotykając jeden drugiego. A w tej wieży jest gruba dębowa krata, czyli klatka, w jakiej trzymają lwy, tak że strażnicy mogą wewnątrz wieży chodzić wokoło tej klatki i patrzeć, co więźniowie robią. W nocy zaświecają na środku klatki wiszącą szklaną lampę. Wokoło tej okratowanej izdebki znajdują się kłody, na których opieraliśmy nogi lub mieliśmy w nich siedzieć. Ale, że Bóg nam dać raczył łaski u naszego agi, sadzał nas do tych kłód tylko wówczas, gdy nieznanymi Turcy mieli wchodzić na wieżę — posyłał naprzód, aby nam obie nogi do kłód pakowali i zamykali; bo ponoć taki rozkaz otrzymał od baszy, żebyśmy dnie i noce siedzieli w kłodzie. A gdy Turcy odeszli, znowu nas puścić kazal.

Gdy minął trzeci dzień, a nie dano nam chleba ani żadnej strawy, posłaliśmy po naszego opiekuna agę i pytaliśmy, co z nami czynić zamierzają, ponieważ już trzeci dzień nic w ustach nie mieliśmy. Jeżeli chcą nas głodem zamorzyć, żeby lepiej wrzucili do morza i utopili, abyśmy raz skończyli tę naszą nędzę. Gdyśmy tak przed nim płakali, i jemu aż lzy pociekły z oczu, skoro do nas przemówił: «Żyje Bóg i Jego wielki prorok Mahomet, na nich przysięgam, że przykro mi, iż męczą was w takim ciężkiem i ciemnem więzieniu, i nie mogę się nadziwić, czemu się nad wami znęcają, mnie zaś nic nie mówią, co z wami mam czynić. Nie sądzę, żeby chcieli was morzyć głodem, gdyż w takim razie zamknęliby was do piwnicy, w której Turcy umierają z głodu. Pojadę do Konstantynopola, dowiem się, co was czeka, i powiem wam to szczerze». Całowaliśmy mu ręce, nogi, szaty i z płaczem polecaliśmy się jego lasce, z wielkim strachem oczekując powrotu.

A gdy przed wieczorem przyjechał, powiedział, że nie pomrzemy z głodu. Basza przeznaczył trzy aspry, czyli krajcary, na dzień i za to mieli nas żywić. Ale ponieważ długo musielibyśmy czekać na pieniądze, gdyż co kwartał wypłaca się dworzanom, żołnierzom i służbie, więc poczciwy nasz aga (niech mu Bóg za to zapłaci) poręczył piekarzom, aby nam codzień po dwa bochenki chleba dawali, a on im co trzy miesiące wypłacać będzie. Tak się też stało; co kwartał płacił piekarzom po dwa krajcary dziennie, zaś trzeci krajcar sobie zostawiał, za swoją pracę, ale i tak byliśmy mu wdzięczni.

Ponieważ morskiej słonej wody pić nie można, a niedaleko od miasteczka, położonego nad morzem, jest na wierzchołku góry studzienka słodkiej wody, stamtąd więc przynosili nam codzień dwa dzbany, tak że zaledwie mogliśmy ugasić pragnienie (bo bywa tam okropnie gorąco). Z tego powodu, jeśli który wypił więcej, powstawały sprzeczki. A więc, żeby wszyscy mieli równo, zawiązaliśmy spółkę w naszym zawodzie pończoszniczym, jeden przadł bawełnę, drugi ją zwiął, trzeci robił pończochy. Skorośmy oszczędzili jakiś pieniądz (sprzedawszy to, cośmy zrobili), choć zwykle dawano nam za pończochy trochę mąki, oleju, octu, rzadziej aspra, posłaliśmy do miasta i ilu nas było, tyle kupili dzbanków i jeden wielki drewniany ceber, w który stawiało się wszystkie dzbanki. Gdy przyniesiono wodę, nalewano do wszystkich dzbanów, resztę zaś brał codzień inny wiezień, chowając ją w dużym starym dzbanie.

Kupiliśmy sobie wielki garnek i oblepiliśmy go gliną, którą nam strażnicy przynieśli, i zrobiliśmy z niego piec; węgle i miech kupiliśmy również za sprzedane rękawice i pończochy. Podzieliliśmy się na oddziały po pięciu, sześciu i codzień inny musiał gospodarować. Wziąwszy bochenek chleba, nadrobił go do wody, rozdmuchał ogień, nawarzył kaszy i swym rzemieślnikom jeść dawał. Prał wykończoną robotę, czasem, gdy wody było dostatek, uprał i koszule, podczas gdy ich właściciele siedzieli nago, czasem udało się umyć głowy współtowarzyszom. Taki urząd każdy pokolei sprawować musiał tydzień. Ach, jakże wyborna była ta kasza z chleba! Czasem dostaliśmy trochę oleju do omaszczenia; lizało się po nim ręce. Czasem mieliśmy chleba dosyć, czasem czekaliśmy na posilek aż do wieczora; gdy wiedzieli, że mamy wodę, przynosili ją raz na dwa dni, żyliśmy na ich łasce. Nic nam nie dali darmo, prócz soli, którą było naładowane kilka piwnic. Od czasu, jak sultan Mehemed oblegał Konstantynopol i rozbił tę fortecę, soli jest poddostatkiem, i aga nam jej nie żałował.

Gdyśmy wreszcie przywykli do tej przeokropnej ciemnicy i taki porządek pomiędzy sobą zaprowadzili, dostaliśmy książki łacińskie i niemieckie, biblię, pieśni. Skoro zmieniała się warta, wiedzieliśmy, że to rano, i śpiewaliśmy pieśń poranną, a później przeczytaliśmy ranne modlitwy, prosiliśmy Boga o wyswobodzenie nas z niewoli i o to, żeby chrześcijanie pobili Turków. Potem każdy brał się do swej roboty i pracował cały dzień. Wieczorem także, gdy przeglądali nasze pęta, śpiewaliśmy pieśń wieczorną i, pomodliwszy się (domyślaliśmy się, że jest noc), układaliśmy się na spoczynek, czasem czytając jeszcze z godzinkę przy świeczce. Jakąż rozkosz sprawiało nam to czytanie!

Ach, jak słodko wspominaliśmy drogą naszą ojczyznę! Jakie czyniliśmy śluby, jeżeli Pan Bóg wyzwoli nas z niewoli! Jakże będziemy dobrzy! Najwyższem naszym pragnieniem było najeść się chleba dosyć. Wspominając dawną naszą wspaniałość i zbytki, narzekaliśmy ze łzami, żeśmy darów bożych cenić nie potrafili.

Tłum. Marja Bunikiewiczowa.

JAN AMOS KOMENSKY

(1592—1670)

PĄTNIK PRZEGLĄDA STAN UCZONYCH

(Rozdział X)

1) I rzekł do mnie przewodnik mój: «Rozumiem ja twe myśli, wiem, gdzie cię ciągnie. Chcesz iść pomiędzy uczonych; to dla ciebie ponętne, to jest lżejsze, spokojniejsze, użyteczniejsze dla myśli życie». «Tak, to prawda», mówi przewodnik, «czyż może być coś rozkoszniejszego, gdy człowiek, nie dbając o potrzeby ciała materialnego, zajmuje się tylko badaniem wszelkich uszlachetniających rzeczy? Wszak prawdą jest,

że śmiertelnych ludzi podobnymi i prawie równymi Panu Bogu czyni to, iż pragną być wszechwiedzącymi, co na niebie, co na ziemi, co w przepaściach było lub będzie, iż są wszystko ścigającymi, wszystko rozumiejącymi, chociaż nie wszystko równie doskonale, to prawda». «Prowadźcie mnie tam! Czemu zwlekacie?» — zawolałem.

Zbliżyliśmy się do bramy, nazwanej «Disciplina». Była długa, niska i ciemna, pełna zbrojnej straży, której się każdy, chcący wejść na ulicę uczonych, musiał opowiedzieć i prosić o przewodnika. I widziałem, że tłumy ludzi, zwłaszcza młodych, wchodziły i wnet na ostry egzamin były brane. Najpierw badano jaki miasek, jaki zadek, jaką głowę, jaki mózg i jaką skórę przynoszą. Jeżeli głowa była stalowa, a mózg z rtęci, zadek ołowiany, skóra żelazna, a miasek złoty, chwalili i dalej chętnie wiedli; jeżeli który nie miał tego piętego, albo kazali mu się wracać, lub, przeczuwając coś złego, na chybił trafił przyjmowali. Powiedziałem zdziwiony: «Cóż może im zależeć na tym piątym metalu, że tak pilnie go badają?» — «Ba, wiele», rzekł przewodnik. «Jeżeli ktoś nie ma stalowej głowy, rozpęknie mu; jeżeli nie ma w niej płynnego mózgu, nie będzie miał w nim zwierciadła; jeżeli nie ma blaszanej skóry, nie ścierpi formowania; jeśli zaś nie ma ołowianego siedzenia, nie wysiedzi, rozsypie wszystko; a bez złotego mieszkaka, skąd weźmie czas, skąd mistrzów żywych i martwych? Czy sądzisz, że tak wielkie rzeczy darmo przychodzą?» Zrozumiałem dokąd to zmierza, że do stanu uczonego potrzebne jest zdrowie, dowcip, stałość, cierpliwość i złoto na wydatki, więc rzekłem: «Można tu naprawdę powiedzieć: *Non cuivis contingit adire Corinthum*».

2) Wchodzimy potem do bramy i cóż widzimy? Każdy ze stróżujących bierze jednego lub więcej do pracy i z nim się wodzi, dmucha mu coś do uszu, przeciera oczy, wyparowuje nos i nozdrza, wyciąga język i odkrawa, ręce i palce składa i rozkłada i nie wiem już, co więcej robi. Niektórzy próbowali przewierać głowy i coś w nie nalewać. Widząc, że patrzę z przerażeniem, przewodnik mój rzekł: «Nie dziw się, uczeni muszą mieć inne ręce, język, oczy, uszy, mózg i wszystkie wewnętrzne i zewnętrzne organa; dlatego przeformowują się tu, a to bez pracy i przykrości obyć się nie może». Wtem spoglądam i widzę, jak wiele kosztuje biedaków to przeformowanie. Pięść, miotła, linja na twarzy, na głowie, na grzbiecie, na siedzeniu się znalazły, aż krwią pluli i pełni byli pręg, szram, siniaków i czuli się bardzo zmęczeni. Niektórzy, widząc to, wprawdzie nim ich chwycono, uciekali do bramy i hen precz; inni, wydzierając się z rąk formującym, też uciekali. Mniejsza ich liczba wytrzymała aż do końca; ja również, do stanu uczonego chęć mając, przetrwałem formację, choć nie bez trudności i przykrości.

Gdy wychodzimy z bramy, widzę, że każdego cechują, po czem można go rozpoznać jako uczonego: kałamarz za pas, pióro za ucho, a do ręki pustą księgę do gromadzenia nauki. Dostalem to wszystko. Wówczas rzekł Wszystkowiedz: «Tutaj są cztery rozstajne drogi: do filozofji, medycyny, jurysprudenccji i teologji. Gdzie się najpierwej udamy?» — «Jak sądzisz» — rzekłem. Więc on postanowił: «Najpierw pójdziemy na plac, gdzie się schodzą wszyscy, ażebyś się im przyjrzał; potem zwiedzimy rozmaite audytorja».

3) I wprowadził mnie na jakiś rynek, i och, tu gromady studentów, mistrzów, doktorów, księży, młodzieńców i siwowłosych! Niektórzy z nich stali w grupach, rozmawiając i dysputując, inni cisnęli się po kątach, uchodząc ludziom z oczu. Jedni (dobrze to zbadałem, choć nie śmiałem im nic mówić) mieli oczy, ale nie mieli języka; inni mieli język, ale nie mieli oczu; jeszcze inni mieli tylko uszy, ale ani oczu, ani języka i t. p. Zrozumiałem, że i tu znajduje się dużo nieodpowiednich. Spostrzegłszy, że wszyscy skądsi wychodzą i znów tam wchodzi, jak pszczoły, płaczące się od ulla do ulla, przynagliłem, ażebyśmy tam także weszli.

4) Więc wchodzimy, a oto wielka izba, której nawet nie mogłem objąć oczyma, a w niej pełno półek, przegród, pudeł i skrzyń, na stu tysiącach wozów nie pomieściłby ich, a każda miała swój napis i tytuł. Więc rzekłem: «Weszliśmy chyba do jakiejś apteki?» — «Do apteki — odparł przewodnik — gdzie się przechowuje leki przeciwko chorobom myśli, apteka ta zaś zowie się biblioteką. Spójrz, jakie tu przeogromne składy mądrości!» Ujrzałem wielu uczonych, chodzących pomiędzy pakami. Niektórzy, wybierając najpiękniejsze i najsubtelniejsze, wyciągali z nich po kawałku i powoli żuli i za-

żywali. Zbliżyłem się do jednego z nich, pytając, co robi? Odpowiedział mi: «Korzystam». «A jakiż tego smak?» — pytam. On na to: «Dokąd się żuje w ustach, gorzki i kwaśny, ale potem zamienia się w słodczy». «A poco to robicie?» — zapytałem. Odpowiedział: «Łatwiej mi jest wewnątrz nosić, a przytem jestem pewniejszy. Czyż nie widzisz skutków?» — Spoglądam na niego uważniej, widzę, iż jest tusty i opasły, rumiany, oczy świecą mu jak świece, mówi pięknie, obraca się żywo. Przewodnik mój rzekł: «A teraz spójrz na tych».

Spoglądam i oto widzę, że niektórzy bardzo chciwie z tem się obchodzą, pchają wszystko w siebie, co im wpadnie pod rękę. Przyglądając się im uważnie, nie widzę, ażeby im tłuszczu lub ciała, albo kolorów przybywało, tylko brzuch mają odęty i rozepchany; i spostrzegam, że to, czem się napchali, zpowrotem z nich wychodzi spodem i wierzchem, niestrawione. Niektórzy dostawali zawrotu i pomieszania zmysłów; inni schli z tego, bledli i umierali. Świadcowie, tam obecni, wskazywali ich sobie, mówiąc, jak niebezpiecznie z książkami (tak nazywali te paczki) mieć do czynienia; niektórzy uciekali, inni napominali się wzajemnie, ażeby byli ostrożni. Dlatego nie brali tego do ust, tylko z przodu i z tyłu uwiązywali sobie woreczki i sakwy i do nich pchali paczki, najwięcej te z napisami: wokabularz, dykcjonarz, leksykon, promtuarium ¹, florilegium ², loci communes ³, postille, konkordanci, herbarz i t. d. (każdy, co dla siebie uważał za pożyteczne), nosili je ze sobą, a gdy przyszło im coś powiedzieć lub napisać, wyciągali, brali do ust lub pod pióro. Zauważywszy to, rzekłem: «Ci, zdaje się, w kieszeni noszą naukę?» Przewodnik mój odparł: «Memoriae — to subsidia. Czyś o tem nie słyszał?» Słyszałem, iż niektórzy ten sposób chwala, jakoby się wówczas tylko niezbędne rzeczy brało. Lecz miało to swoje niewygody. Zdarzyło się w mej obecności, że się kilka paczek rozsypało, innym znów, gdy je nabok odłożyli, ogień co najważniejsze spalił. Ach, cóż to było za bieganie, łamanie rąk, narzekanie, wołanie: rety! Od tej chwili nie chciałem żaden dysputować, pisać, kazać; tylko, zwiesiwszy głowę, chodził, kurczył się, czerwił, prośbą i za pieniądze starał się wydobyć stracone paczki na nowo; podczas gdy ci, co je mieli wewnątrz, pewniejsi siebie byli i takiej przygody nie potrzebowali się obawiać.

Tymczasem spostrzegłem innych, którzy nawet do kieszeni nie pakowali paczek, ale je znosili do jakiegoś pokoiczku. Wszedłszy za nimi, widzę, że stroją je w piękne pudła, malują różnobarwnie, niektórzy nawet złotem i srebrem okładają, ustawiają na półki i znów wyciągają, składają i rozkładają, przystępują i odstepują, podziwiają i każą podziwiać innym, jak to pięknie wygląda; wszystko nazewnątrz; niektórzy spoglądali na tytuły, ażeby umieć je wymienić. Rzekłem na to: — Czemuż oni tak się bawią? — A przewodnik odparł: «Kochany bracie, miła to rzecz mieć piękną bibliotekę». — Nawet gdy się jej nie używa? — mówię na to. A on: «I ci, którzy kochają biblioteki, zaliczają się pomiędzy uczonych». Wówczas pomyślałem: Jak ktoś, kto by zgromadził dużo młotów i obcęgow, nie wiedząc nawet do czego służyć, uważał się za kowala. Nie śmiałem jednak tego powiedzieć.

Tłum. Marja Bunikiewiczowa.

JAN KOLLAR

(1793—1852)

Z «CÓRY SŁAWY»

I.

O! dawnych Słowian złoty wieku błogi!
 Czyż dziś oko Iż się nie zaleje?
 Któż dziś nie westchnie, czytając twe dzieje?
 Chociaż narodu kreśliły je wrogie?...
 Nieznane były u naszych pradziadów
 Klucze, zapory, szafoty, więzienia,

¹ podręcznik. ² antologia. ³ zbiór wiadomości współczesnych.

Ani się pojąć mogli ze zdziwienia,
 U swych niemieckich widząc je sąsiadów,
 Obce im były kradzież i morderstwo,
 Podstęp, obłuda, kłamstwo, przemieszanie;
 Sędziwą starość młode plemię czciło.
 Pieśni i gędzba w całym kraju brzmiały,
 Gościnne wrota wszędy oścież stały...
 Dzisiaj, niestety, wszystko się zmieniło.

II.

O, gdyby przy mnie berło władzy było!
 Gdybym miał ręką zawiadnąć zwycięską!
 Razby się przecie na zawsze skończyło
 Sąsiedztwo, co nam było klęską.

Od Adrjatyku aż ku bagnom fińskim,
 Od Łaby po nurt Dunaju hystrego,
 Nie żelaznemi słupami Chrobrego,
 Granice murem opasałbym chińskim.

Tą-bym ja tarczą od zguby ostatniej
 Zasłonił ciebie, o narodzie bratni!
 Któremu, więcej gdy nie ma co brać —

Wydarłszy wszystko, wróg twój naostatek
 Dziś się nie wzdraga z piersi twoich matek
 Słowiańskie mleko twe ssać! —¹

Tłum. Roman Zmorski.

FRANCISZEK WŁADYSŁAW ČELAKOVSKÝ
 (1799—1852)

POJEDNANIE

Moje wy piastunki, matko droga,
 Rówieśnice me, nadobne dziewy,
 Jeśli wiecie, to mi też powiedzcie,
 Ile czasu trwa poranna zerza,
 Tęczy luk i — zakochanych zwada?
 Bo się z lubym moim poróżniłam,
 Gniewem się uniosłam na miłego,
 Wcalesmy do siebie nie mówili,
 Ani słówka, nawet pół słoweczka.
 Pogrzebałam w śniegu miłość wierną
 I na śniegu gniew swój wypisałam,
 Najmilszego całkiem się wyrzekłam.
 Aż wiosenny począł wiać wiaterek,
 Śnieg roztajał i złość też spłynęła,

Pogrzebana miłość ma rozkwitła,
 Wzrosła kwieciami modrem i czerwonym.
 Dzień radosny był to wielkanocny,
 Wczesnym rankiem ze snu-m się zerwała,
 Na ulicy się spotkałam z lubym.

«Chrystus z martwych wstał!» te słowa jeno
 Powiedziałam i spuściłam oczy.
 «Tak, wstał z martwych!» odrzekł ukochany,
 Rzekł mi to i w usta pocałował.
 Moje wy piastunki, matko droga,
 Rówieśnice me, nadobne dziewy!
 Jasne słońce może zaćmią chmury, —
 Ja się nigdy nie poróżnię z lubym.

Tłum. Alfred Tom.

KAROL HYNEK MÁCHA
 (1810—1836)

MAJ
 (Wyjątek)

Nad jeziorem pagórek wznosi swoje czoło,
 Na nim słup, w ziemię wbity, straszne dzwiga koło,

¹ Niemcy poszukują Słowianek na mamki.

Wpobliżu stromej skały podwójny wierzchołek,
A na wyższym małeńki bieli się kościółek.
Wolnym pochodem orszak u jego podwoi
Staje — cofa się w okrag: złoczyńca sam stoi.
Raz mu jeszcze ostatni, jeden raz jedynie
Pozwolono przyrody oglądać świątynię
I w ciemne góry puścić dumające oko,
I wolnem ich powietrzem odetchnąć szeroko;
I raz jeszcze popatrzeć na niebios błękity,
Na kolebkę dzieciństwa, skał sinawych szczyty,
Przed nieba, światów Panem zgiąć kornie kolano,
Okupić mnogie błędy jedną łzą wylaną.
I wszelki zgiełk umilknął, lud chowa milczenie,
I każde serce zdjęło jakieś tajne drżenie,
Bez ruchu każde oko w więźnia się kieruje.
Gdzie, zachwycon przyrodą, ukorzon przed Bogiem,
Modli się uroczyście przed wieczności progiem.
Wzniosło się słońce i jarką łoną,
Oblewa więźnia twarz wybledzoną;
Łzę na źrenicy tęsknej mu ściera,
Co w oddaloną przestrzeń spoziera.
Pod nim głęboko krasna dolina,
Ciemnych gór łańcuch ją wkoło spina
I wieniec lasów w krąg obejmuje.
Środkiem dolina się rozstępuje
I na pościeli brzegów kwiecistych
Jezioro drzemie w głębiach przejrzystych.
To modro czasem z brzegu się wspieni,
To dalej błysnie znów zielonawo,
Zieleniej jeszcze dalej się mieni,
Aż blade jasną ginie w dal mgławą.
A nad niem wkoło domy się białą,
Drzewa wieszają ponad topielą,
Na wodzie ptaków kąpie się stado,
I lekkie czółna pławią gromadą;
A gdzie jezioro w boki się kloni,
Cały tam obraz po wodzie goni:
Łódki i ptaki, domy nadbrzeżne,
Zielone drzewa i żagle śnieżne,
Wzgórki okólne, dalekie góry
I ciemnych lasów okrag ponury —
Wszystko, jakgdyby wspak zatopione,
W zwierciadle wody widać zdwojone.

Tam w mgławej dali stercząca skała
Ponad głębiną zwiesza się śmiała;
A na niej drzewo tkwi rozłożyste,
Znany dąb stary. Już uroczyste
Nie wrócą chwile, co w jego cieniu,
Gdy noc spuszczała tajni namioty,
Głos synogarlic zwał do pieszczoty,
W słodkiem miłości mkły upojeniu.
Najbliższy wzgórek wznosi swe czoło,
Na nim słup wbity, na słupie koło;
Wonny gaj boki wzgórnka ustraja,
Młode listeczki smutnym drżą stękiem.

Słońce się wznosi, wszystko drży wdziękiem,
 Skapane rosą — ranek to maja.
 Wszystko jeszcze piękniej, uroczyściej wygląda
 Temu, co raz ostatni napaść się tem żąda.
 I więźnia serce schwycił żal gorzki, gwałtowny,
 Tajny, lecz łzą gorącą, westchnieniem wymowny;
 Płacze — lecz duma męska i wola, i siła
 Ostatniem wysileniem te łzy przytłumiła.
 Znowu w niebios sklepieniu wznosi oczy łzawe:
 Na przejrzystem sklepieniu giną mgły białawe,
 Z nimi leciuchny wietrzyk w różny kształt swawoli;
 Wyżej, dalekiem niebem obłoki powoli
 W odległe płyną kraje szeregi długimi,
 Więzień do nich przemawia słowami smutnemi:
 «Wy, co w dalekosięgłej swej wędrówki locie
 Obejmujecie ziemię w tajnym ramion splocie,
 Wy, gwiazdy rozplynięte, modre nieba cienie,
 Wy, całuny, żalobne w nagłe rozsmutnienie,
 Co się w ciche łez strugi całe rozplywacie;
 Wy najmiłszymi posty zawsze mi bywacie.
 Więc gdzie płyniecie w długim oddalonym biegu
 I tam, gdzie już do swego dopłyniecie brzegu,
 W bystrej pielgrzymce swojej pozdrowcie mą ziemię,
 Mą kolebkę, grób, matkę. O, pozdrowcie niemię!
 Ach, tę piękną, tak piękną ziemię ukochaną,
 Mą ojczyznę jedyną, w dziedzictwo mi daną,
 Szeroką moją ziemię, mą ziemię jedyną,
 Aż bieg wasz nad jeziora zobaczy głęбина
 Na wzniosłym złomku skały dziewicę splakaną».

Umilkł; — i znowu we łzach oko się splawiło.
 Wtem znak ostatni dano — wojsko się ruszyło:
 Orszak szeroką ścieżką wzdłuż młodego borku
 Idzie — dalej — i dalej — już są na pagórku.
 Tłum w niemem natężeniu odetchnąć się boi;
 U kresu z gołym mieczem kat gotowy stoi.
 Jeszcze raz, raz ostatni więzień podniósł oko
 I z westchnieniem dokoła powiódł niem szeroko,
 I nagle spuścił w ziemię — śmierć wobec stanęła,
 Klęknął — kat wtył się cofnął — stal w górze błysnęła:
 Straszna chwila... jakgdyby grom nad tłumem zwisnął,
 Kat szybki krok dał naprzód i razem miecz świsnął.

Spadła głowa i drgnęła i ciało się kloni,
 Ach, w tę ziemię jedyną, ziemię ukochaną,
 W swą kolebkę, grób, matkę — och, w ziemię jedyną,
 Szeroką tę tu ziemię, w dziedzictwo mu daną,
 W matkę swą, w matkę swą, krew syna ciecze po niej,
 Po członku łamano członek, aż ciało skruszone
 Jak nitka między kolo zostało wplecione;
 W środku głowa zatknięta w postrach długich czasów,
 Tak skończył dni żywota straszliwy pan lasów.

I długo tak siedziałem, aż promień księżycy
 I moje, i tej czaszki zbledził jeszcze lica,

Jak zasłona gazowa białość się rozlewa
 Na doliny i góry, jezioro i drzewa.
 W okolnych dworach słyhać psów szczekanie,
 Niekiedy się spóźnione odezwie wołanie;
 To sowa gdzieś tam stęknie, żabki rechotają,
 Lekkie wiatry kwiat z drzewa jak śnieg rozwiewają.
 Wyziew łączny jak wonne kadzidło się wznosi,
 Obłok przelotny czaszkę lżą przelotną rosi,
 Mgła jak krepa się ściela, niesiona wietrzykiem;
 Nocne ptactwo złowrogim odzywa się krzykiem.
 Nad jeziorem przelata światło tajemnicze
 I wiatr jakieś jęczenia roznosi zwodnicze;
 A muszki świętojańskie, gwiazdy latające,
 Uganiają się, krążą, jasnych gwiazd tysiące;
 Czasami zajdzie która w czaszki głab kościstą
 I, oczami wylażąc, tworzy lżę ognistą.

I w smutnych oczach moich dwie wrzące lży stały,
 Jak te iskry jeziora po twarzy mi grały.
 Bo gdzież moje dzieciństwo? O, wiek to szczęśliwy!
 Daleko już go uniósł bieg czasu skwapliwy,
 Dalekie sny dzieciństwa, jako cień zamierzchły
 Obrazów, co po wodzie dawno się rozpierzchły.
 Czem zmarłych myśl ostatnia, czem są ich imiona,
 Chwała bogów przedawnych głucho zatracona,
 Dawna zorza północna, wygasłe jej łony,
 Starganej struny dźwięki, zbitej harfy tony,
 Zeszłego wieku dzieje, blask gwiazdy spadniętej,
 Ślad błędnego ognika, woń róży zwiędniętej;
 Czem jest grób zapomniany, minionych burz wycie,
 Stary wulkan wyziębły, przeszłość zapadnięta,
 Śpiew martwego łabędzia, przeszłość niezgadnięta,
 Stracony raj ludzkości, po stracie piękniejszy —
 Tem jest moje dzieciństwo!...

A czas terazniejszy

Jakże mnie przeinaczył! Jak w tym poemacie
 Życie jeszcze w majowej mieni mi się szacie,
 Lecz cisza to majowa wśród nocnej pomroki,
 Na ustach lekki uśmiech, w sercu żal głęboki.

Widzisz li tam pielgrzyma? Długim kijem wspiera
 Pośpieszne kroki swoje, szybko się wydziera
 Śledzącym go spojrzeniom, gdy tę skałę minie,
 Przed waszemi oczyma już na wieki zginie.
 I nigdy go już, nigdy potem nie ujrzyciel
 To moje przyszłe losy, to me dalsze życie.
 I któż serce podobne napoi dosyta?
 Szczęście, miłość trwa wiecznie! Mnie już nie zaświta.

Późny jest wieczór pierwszego maja,
 Majowy wieczór, wszystko tak miło!
 Głos synogarlic wabi do gaja:
 «Hynku, Wilhelmie, Jarmilo!»

Tłum. Br. Małcki.

JAN NERUDA

(1834—1891)

OSTATNIA BALLADA Z ROKU DWA TYSIĄCE I JESZCZE KILKA

Za ostatnią kradzież, co wogóle
Na tym świecie została spełnioną,
Raz ostatni zeszły się pacholki
I ostatnią ławę wystawiono.

Baron, sławnych pradziadów potomek,
Drży ze strachu, gnie pokornie szyję;
Przodków nawet miecze nie trwożyły,
A potomka skruszą marne kije.

I ostatni sędzia, praw ostatnich
Stróż, za chwilę mowę swą wypowie,
By za kradzież kazać sprawić kije
Ostatniemu w świecie baronowi.

— Miły bracie, strózu praw surowych,
Patrz, jak w ciężkiej znalazłem się matni;
Kraść nie będę nigdy, więc mi przebacz,
Jam jest baron, i to już ostatni.

Sędzia słucha, tylko głową kiwa
I uśmiecha się niby łaskawie:
— My barona pod ławę rzucimy,
A złodzieja położym na ławie.

ROMANCA

Skocznie grano, gdy już w ziemi
Legło ciało moje,
Matka gościom wystawiła
Jadło i napoje.

Dnia drugiego się dzielili,
Zamków dziewięć było,
Że im mało zostawiłem,
To w nich złość budziło.

— A tę była mą kochankę
Komuż odda mama?
— Głowy sobie nie kłopotzę,
O tem myśli sama.

—
Tłum. Bronisław Grabowski.

ŚWIĘTOPELK ČECH

(1846—1908)

PIEŚŃ NIEWOLNIKA

(Śpiew XV)

Raz dwaj otrocy z dozorcą samotrzeć
Z dalekiej drogi wracaliśmy puszcza,
Której stuletnie drzewa tak się bluszcza,
Że nigdy dniowi pod ich dach nie dotrzeć.
Z worem na drągu z ramienia na ramię,
Czuźnie strzeżeni i pod grozą pięści
Albo, co gorsza, ostrej draba włóczni
Jeden za drugim szliśmy obaj juczni,
Ledwo już dysząc. Wtem gałąź zachrząści
I suchy konar z łoskotem się złamie,
I sierść złocista, pręgowata cała,
Mignie znienacka szybciej niżli strzała.
Jeden krzyk trwogi i już drag, i brzemię
Lecą nam z ramion na skrwawioną ziemię,
A mój towarzysz, co zdążał przede mną,
Patrzę: kłom bestji broni się daremno.
Stróż nasz oszczepem potrząsnął i mierzy...

Zwierz, powalonym nie bawiąc się trupem,
Skoczył i łapy w krwi ubroczył świeżej,
I pomknął w dżunglę z nowym swoim łupem.
Przejęty grozą, pochwyliłem bronie,
Które siepacza wypuścili dłonie,
I bieć począłem naoslep przed siebie,
Byle bór minąć, zanim noc na niebie
Rozwiesi mroki czarne i ponure.
Byle bór minąć! — Ot, i rzędną liany,
I coś jak ścieżka wiję się pod górę.
Może w niej znajdę ślad zgubionej drogi?
Tam jakaś grotła pod załosem ściany...
Ku jej kolebie wspinam się po perci,
A wtem dzień zgasnął. Omdlały mi nogi
I w sen zapadłem cięższy od snu śmierci.

Kiedym nazajutrz przecknął z odrętwienia,
Świat cały garnął się ku moim stopom,
Cudny, jak w pierwszym dniu swego stworzenia.
Wdął rozciągnięty ku morza zatopom,
W którego toni złocisty krąg słońca
Skrzył się, jak bogów tarcza gorejąca,
Bór, co nikomu nie bywał komyszą,
Dumał, nakryły uroczystą ciszą.
Gdziemkolwiek posłał zachwycone oczy,
Czyto przed siebie, czy też po uboczy,
Wszędzie a wszędzie na całym przestworze
Jedno szumiało w krąg zieleni morze
Świeżej, spojrzeniem człowieka nietkniętej,
Płynnym szmaragdem nawskroś przesiąkniętej,
Nad nią cień orła czy też albatrosa,
A jeszcze wyżej — już tylko niebios.
Zaś za mną wdali z wiecznym śniegiem w źlebie,
Z za wieńca regli poprzez mgieł rańtuchy,
Szczyt granitowy majaczał na niebie
I hen! aż ku mnie słał rzeźwe podmuchy,
Co, palm wierzchołki w rytm kołysząc senny,
Ku leśnym jarom i wzgórz widnokręgom
Wiły się liścia rozwianego wstęgą,
Aż przepadały w kniei smukłopienniej.
Ówdzie, rzuciwszy gniazdo swe podniebne,
Srebrne sikławy, niby kryształ ciekły,
Wsuwały pasma tęczowe i srebrne
W aksamit polan, których nie urzekły
Ludzkie spojrzenia. Tutaj kwiatów wdzięki
Jeszcze człowieczej nie zaznały ręki.
Dziewicza ziemia ła od lat tysięcy
Śni nieprzerwanie sen swój niemowlęcy.
Zdana na czujne śmigłych palm wigilje,
Na mchach puszystych położyła skronie;
Nad nią storczyki złote i wanilje
Sieją z kielichów upojne swe wonie,
Albo winorośl, ręką niedotkniętą,
Otrząsa na nią żrałe sokiem grona...
Tak, to kontyna dziewiczej przyrody,
Tu niema jarzma, tu jest raj swobody.

Przebóg, czyż nie jest uludy igraszką
 Ta błogość w piersiach i ten grom pod czaszką:
 Tyś wolny, wolny! tu cię nic nie pęta!
 Za tobą hańba i kaźń twa przekłeta,
 Sam sobie jesteś w tej kryjówce gazdą,
 Tutaj ci w skałach uwić orle gniazdo.
 Za tobą nędznych siepaczy czereda,
 Jarzmo i dyby, i krzywda, i bieda,
 Za tobą rabów kłótliva gromada,
 Na której plecy batóg dzień w dzień spada, —
 Wszystek jad duszy z jej bezsilną złością,
 Lęk, zawiść, podłość — wszystko poza tobą,
 Niby gryzący dym brudny i smolny,
 Pierzchło na myśl tę jedną: jesteś wolny!

Matko naturo! daj mi na twem łonie
 Przeżyć połowę życia mego drugą,
 Zabliźnić rany, zapaść w czyste tonie,
 Złać się z twą duszą, jak struga ze struga!
 Domem mym będzie gościnność tej grotty,
 Napojem — woda z wywierzyska świeża,
 Pokarmem — owoc twój żrалоścią złoty,
 A oszczep — bronią na leśnego zwierza.

Tłum. Maciej Szukiewicz.

KŁOPOTY KRYTYKA

(Z «Nowel, arabesek i humoresek»)

W niejednym prowincjonalnym mieście można znaleźć młodego człowieka, który pomiędzy rześkimi mieszczanami wygląda jak człowiek, spadły z księżycy. Miewa zwykle długie nierówne włosy, marzący wyraz twarzy, o nieprawidłowych, lecz szlachetnych rysach, nosi okulary na nosie, a na brodzie przygarść bezbarwnych włosów, będących w ustawicznym kontakcie z jego niespokojną ręką. Dobrzy mieszczanie przywykli już do tego odrębnego zjawiska, ale spoglądają na niego, gdy z okiem tęsknie wpatrzonem wdał kroczy środkiem ulicy, z podobnym zapewne uczuciem, jak zwykli patrzeć na albinosa normalni ludzie. Słuchają z uprzejmym uśmiechem jego trajkotliwej mowy, gdy opowiada czasem o rozlicznych kierunkach sztuki i literatury pięknej i tem podobnych transcendentálnych rzeczach. Człowiek ten bywa dobrowolnym i bezpłatnym współpracownikiem miejscowego czasopisma.

Takim właśnie był Brzetysław Luňáček. Pewnego rana wstał z wzniosłą świadomością, że poprzedniego wieczora został zaangażowany, spotkawszy się przypadkiem w podmiejskiej restauracyjce z redaktorem «Dzwonu», jako krytyk, feljetonista, oryginalny korespondent z Pragi i korektor miejscowego tygodnika. Czasopismo to posiadało około półtora sta prenumeratorów, a przewodnią jego myślą była konkurencja z drugim miejscowym tygodnikiem «Młot», obrona kilku dostojników przeciwko lotrostwu opozycji w publicznem przedstawicielstwie, kasie pożyczkowej i związku straży pożarnej, niedopuszczanie, ażeby budowę gmachów publicznych powierzano lekkomyślnie komu innemu, a nie architektowi X, ofiarnemu zwolennikowi «Dzwonu», a obok tego obrona wszelkich świętych praw narodu czeskiego.

Z usprawiedliwioną dumą wstał więc Brzetysław Luňáček z łóżka i pośpieszył w stronę, gdzie wisiała stara marynarka, ażeby się przekonać, czy to engagement nie było marnym, cudownym snem. Nie, nie był to sen. Znalazł w kieszeni dwa nierozcięte tomiki poezyj i praski dziennik, w którym była wzmianka o wierszach, dopiero co wydanych. Oddał mu to wszystko wczoraj redaktor «Dzwonu» z prośbą, ażeby swą współpracę rozpoczął krytyką tych książek. Prosił go przytem o uważne rozcinanie kartek ostrym narzędziem, gdyż poezje te przeznaczone są na imieninowy

podarunek dla siostrzenicy redaktora. Dziennik praski zaś dał zapewne dlatego, ażeby go zapoznać z cudzym sądem o tych utworach.

Brzetysław Luñaček ubrał się dziś staranniej niż kiedykolwiek i długo się przyglądał w zwierciadle swej twarzy. Zbliżył się do okna z dumnie wypiętą piersią, podniesioną głową i patrzył pogardliwie na małomiejski ruch, ożywiający czworokątny, nędznie brukowany rynek. Choć mieszkał na pierwszym piętrze niskiego domu, wydali się mu ci filistrzy tam na dole tak małańkami, śmiesznymi figurkami, jak w dziecinnej, gwiazdkowej szopce. Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu, patrząc na głębokie ukłony, składane przez tych parafjan tłustemu burmistrzowi, kroczącemu właśnie dumnie po rynku.

Posługaczce, która mu przyniosła śniadanie, zabronił wpuszczać do siebie kogokolwiek, z wyjątkiem człowieka z redakcji, mającego się punkt o piątej zgłosić po rękopis. Słowa «redakcja» i «rękopis» wymawiał w sposób wielce uroczysty.

Potem Brzetysław Luñaček zasunął zawory u drzwi i poważnie zbliżył się do stołu, na którym leżały już oba tomiki poezyj i praski dziennik. Usiadłszy, zdjął troskliwie piórko z faldy rękawa (nie czynił tego dotąd nigdy) i zagłębił się w rozmyślaniach o tem, jak oto sobie tu siedzi i że ci dwaj poeci nie przypuszczają nawet, iż tak ważna jest dla nich ta chwila. Potem z pogardliwym uśmiechem sięgnął po pismo praskie. Przebiegłszy pobieżnie oczyma po uwagach krytycznych, w niem zawartych, rzucił ze złością gazetę na ziemię, mrużąc:

— Znowu te bezwstydnne hymny pochwalne! Musi się skrócić te wybryki! Przecież nasi pisarze zupełnie są już zepsuci tą adoracją; siedzą na postumentach swej domniemanej sławy, jak niedostępne balwany, i podnoszą nos nad całe społeczeństwo, wciągając łakomie nozdrzami dymy z ofiarnych kadzielnic, jakimi są te wszystkie krytyki naszych gazet. Musi ustać wreszcie to wzajemne kadzienie. Myślę, że najlepiej rozpocznę swą działalność krytyka od gromobicia przeciwko temu świństwu — tak, napiszę przedewszystkiem ostrą ogólną o tem uwagę. — Zobaczą. — Niech sapią, niech się na mnie rzucają! — Wskażę najpierw na ten bezmyślny, bezwstydnny hymn pochwalny w tej praskiej szmaciel!

Błysnął okiem w sposób bohaterski i kurczowo chwycił za pióro. Lecz wnet przypomniał sobie, że może będzie lepiej, jeżeli przeczyta najpierw oba tak bezwstydnne wychwalane tomy poezyj.

Zaczął więc czytać. Czasami tylko przesunął oczyma po stronicach, to znów wpijał mocno wzrok w jedną linię, czasem kiwał głową dobrotliwie, to znów złośliwie się uśmiechał, a przy tem wszystkim kręcił i ciągnął przygarść bezbarwnego zarostu na brodzie w ten sposób, że zrobił z niego wkońcu coś podobnego do śpiczastego sztyletu, wymierzonego prosto w serce nieszczęśliwego autora.

Zaledwie dokończył czytać, przyniosła mu posługaczka skromny obiad. Zjadł go z roztargnieniem i pośpiechem, a wysączywszy czarną kawę, powrócił znowu do pracy. Rozważywszy należycie wszystko, postanowił stanowczo napisać we wstępie ostrą uwagę o penegirycznych pseudokrytykach, która to wzmianka spowoduje z pewnością zupełny przewrót (przytem zaiskrzyły się mu oczy), najpierw napadnie na krytyka z praskiego dziennika, a potem ostro, chłodno wytknie wady i błędy autorów. Wszak należy zwrócić uwagę pisarza na słabe strony jego twórczości, aby się ich na przyszłość wystrzegał, trzeba go zawrócić z niewłaściwej drogi, a wskazać właściwe tematy, kierunek i sposób opracowania.

Uczyniwszy to postanowienie, Brzetysław Luñaček zaczął się przechadzać po pokoju. Długo, długo jaśniał na stole śnieżną bielą nietknięty arkusz papieru. Wkońcu zjawily się na nim słowa: — Jak zachód słońca, różową barwą zalewający nieboskłon. — Lecz po chwili słowa te zniknęły pod gęstą kratą przekreśleń, a za nimi zjawilo się zdanie: — W rękach naszych, drżących z niesmaku i troski o właściwy rozwój naszego piśmiennictwa. — Ale i ten wiele obiecujący początek ustąpił miejsca innemu, ten znów innemu i tak dalej. Długo, długo pracował w ten sposób Brzetysław Luñaček i z równym skutkiem. Wreszcie, zmęczony, stanął przed oknem.

Nazewnątrz donki, okalające rynek, płonące w promieniach wiosennego słońca, zdawały się uśmiechać spokojnem szczęściem, tak samo jak i przechodzące grupki różnobarwnie ubranych ludzi, którzy okazywali zadowolenie z życia i dobrobytu. Był to rzeczywiście piękny obrazek. Krytyk zapatrzył się i nagle uczuł, że mięknie mu

serce. Żal mu się zrobiło tych dwóch biednych poetów. Patrzcie, wstaną jutro rano z rozpromienionymi twarzami, uśmiechającymi się radośnie do pełnej nadziei i powabnej wiosny, a wieczorem już w drżących rękach trzymać będą druzgocący wyrok. Kto wie, czy który z nich nie sięgnie... — Ale wreszcie mogę wpuścić trochę balsamu do rany, zwrócić uwagę na interesujące strony twórczości.

Wtem zawadził okiem o zegar na wieży przeciwległego ratusza i z przerażeniem spostrzegł, że wskazówka stoi na czwartej godzinie. Boże! pozostaje tylko jedna godzina! Trzeba pełną parą zabrać się do pracy. Ogólną wzmiankę można odłożyć na jutro, a poprzestać na krytyce utworów.

Zaczął chodzić coraz śpieszniej po pokoju. Ścisnął skronie, gryzł koniec pióra, przesuwał gorączkowo rękę po zaroście na brodzie — nic nie pomogło! Rozczochrane włosy rozwiewały się w biegu, rześisty pot wystąpił mu na czoło.

Oto widzi, jak z domu, leżącego przy końcu rynku — mieści się tam drukarnia «Dzwonu» — wychodzi wiadomy człowiek. Jest to zecer, idący po rękopis! Luñaček padł zrozpaczony na krzesło. Co począć! Zaraz na wstępie — będzie to okropny wstyd! Jak na to zaradzić?

Zanim krytyk rozważył należyście niemiłą sytuację, wszedł zecer. Luñaček poprosił go, żeby chwilę poczekał i z okropnym natężeniem zaczął coś bazgrać na papierze. Lecz nie było to nic podobnego do rozumnych, związanych zdań.

Zecer, obserwujący go ze współczuciem, nagle zauważył:

— Czemu się pan nad tem męczy, panie Luñačku. Dlaczego pan nie wytnie? —

Krytyk wytrzeszczył nań oczy i jęknął: — Wyciąć?

— No tak, od czasu, jak jestem tu w drukarni, pisane manuskrypty mieliśmy tylko wówczas, gdy je nam przysyłano z wydawnictw. Zresztą zawsze wycinaliśmy.

— A publiczność? — A redaktor? —

— Publiczność nasza nie czyta krytyk, a redaktor sam wycina.

Luñaček wyciągnął mimowoli rękę po praski dziennik, rzucony w oburzeniu na ziemię, i z zarumienioną twarzą drżącą ręką sięgnął po nożyczki. Chwilę patrzył tępo na gazetę, potem zaczął ostrzem nożyc o obwódkę wydrukowanego tam hymnu pochwalnego na cześć dwóch poetów i dwóch tomów ich wierszy.

— Uważaj pan! Zaraz widać, że pan nie ma wprawy! — zawołał zecer, biorąc Luñačkowi nożyce z ręki. Krytyk patrzył bezmyślnie, wytrzeszczonemi oczyma, jak zecer wystrzygi uważnie obie kolumny krytyki, zlepil je starymi znaczkami pocztowymi i jak z tym skrawkiem w rękę wyszedł z pokoju.

Tłum. Marja Bunikiewiczowa.

ELIŠKA KRÁSNOHORSKÁ (J. PECHOVÁ)

(1847—1926)

ZMROKIEM

Zniknął dzionek w gór osłonie,
Rosa pada na stokocie;
Patrz na niebie złote dłonie
Rozsiewają gwiazdek krocie.

Spokój w niebie. — Ból, tęsknotę
Sen w ramiona swe oplata;
Nić miłości ręce złote
Dla całego przędą świata.

I nikt ciszy tej nie zmaça,
Raj po ziemskiej snim katuszy...
Słyszysz? jak dłoń Boża trąca
O napięte struny duszy!

Tłum. Władysław Betza.

DO POEZJI

Ty pocieszasz, gdy gwiazdka moja się w mrok kryje,
Kiedy świat dla mnie wieńce z ostrych cierni wije,
Poezjo! matko święta — życie to noc głucha,
Niech mój duch twojej pieśni i twych zwierzeń słucha.

Poezjo! wiedz mnie życia tego ciemnym szlakiem
Do Boga i nie dozwól mi rzucić przekleństwa,
Me pieśni będą dla cię królewskim orszakiem.
Bądź mi w ciszy kochanką, matką wśród męczeństwa.

Tłum. Miron (A. Michaux).

W RÓŻACH

Gdy umrę, wy mnie nie chowajcie
Pod niemy, nudny, ciężki głaz,
Lecz loże me w zielonej darni
Niech róż ozdobi cały las.

Chcę słodko drzemać jak w marzeniu,
Wkoło niech buja życia kwiał,
A róże w pełnem rozkwitnieniu
Niech grobu mego znaczą ślad.

Chcę, aby wieniec splatał sobie
Wędrowiec, moją nucąc pieśń,
Nie — żeby czytał na mym grobie
Imię w żalobną wryte pieśń.

Wszak serce me kochało wrzące
Wszystko, co w życiu urok ma.
Niežnośne mi to «ach» płaczące,
Niech na mym grobie wiosna trwa.

Ja tam kamieni nie żądałam,
Sporo ich miałam z biegiem lat,
Ale je mądrze omijałam,
Zrywając chętnie róży kwiat

Na drodze inni narzekali,
Że głaz im leżał wszecz i wzdłuż,
Zazdrośnie na mnie wciąż łajali,
Że miałam ręce pełne róż.

A idąc tak drogą żywota,
Nieśliśmy każdy własny siew,
Ja niosłam pełne ręce kwiatów,
Oni — kamienie, żal i gniew.

Jacy bądź byli, na nikogo
Kamienia nie rzuciłam wlot,
Bo czułam już, że czasem boli
Cierń róży w sercu, tak jak grot.

A jeśli nawet serce moje
Ciężyło w piersiach mi jak głaz,
To jeszcze w niem kwitnęły róże,
Chodziłam w nich w najcięższy czas.

Och, nie przywalcież mnie kamieniem,
Gdy spocznę w moim grobie już —
Ja wam za życia słałam róże,
Wy mi po śmierci dajcie róż.

Tłum. Szczęsna (Józefa Cybulska).

JULJUSZ ZEYER

(1841—1901)

PROROCTWO

Był niegdyś rycerz, zbląkał się w lesie
W drzemiących borów pomroku,
Już mu się zdało, że śmierć mu niesie
Wczesny grób z niebios wyroku.

Wtem patrzy w ścianie urwistej skały
Brama się zjawia z ubocza,
Za bramą raj był, anioly grały,
Pieśń brzmiała słodka, urocza.

Łaskawie skiną dłonie aniola,
W kraj rycerz wchodzi nieznany,
Szukajcie bramy, kto tylko zdoła,
Za nią kraj cudów schowany.

Za ową bramą, czasem zaklętą,
Kraina leży szczęśliwa,
Tam codzien boże, niebiańskie święto,
Złoty liść drzewa okrywa.

Tak nam mówiła piastunka stara,
Gdy, przędąc, cienką nić mota,
Słowa mi brzmiały jak senna mara,
W serce się wkradła tęsknota.

Staruszka patrzy — twarz moja blada,
W oczach ślad wewnętrznej katuszy,
Puszcza nić z ręki i tak powiada,
Pociechę lejąc do duszy.

— Nie smuć się, rzekł mi głos, co nie kłamie,
Że kiedyś będziesz w tym gaju,
I lilję szczęścia dłoń twa ułamie,
Przez bramę wejdiesz do raj.

Wierzyłem, teraz na własne oczy
Widzę, piastunka ta stara
Dar rzeczywistości miała proroczy,
Prawdziwa była jej wiara.

Bramo we skale, znalazłem ciebie
 Tam w pustym lesie żywota,
 W duszy mej jasno, jak w bożem niebie,
 Bolesna znikła tęsknota.

Poezjol wszedłem do twego gaju,
 Proroctwo już się ziściło,
 Ale że zmija czyha w tym rajcu,
 Ani się wróżce nie śniło.

Tłum. Bronisław Grabowski.

DOM POD «TONACĄ GWIAZDĄ»

(Wyjątek)

«W głębokiej ciszy pokoju ozwał się naraz w tym momencie dziki krzyk.

— Moja młodość! Wróćcie mi moją młodość! — wołał niespokojnie chrypliwy głos. Było coś tak rozpaczliwego i niezmiernie bolesnego w tym krzyku, że przeniknął mnie całego aż do kości. Rzeczywiście przestraszony, odwróciłem się. Ujrzałem, że okrzyk ten pochodził z piersi trzeciej mieszkanki «klatki pomyłonych». Szpetna ta kobieta była w tej chwili nadzwyczajnie interesująca. Oczy jej płonęły, a wyraz twarzy był tak tragiczny, że aż się zatrząsałem. Zwierciadło, w którym się stale, po całych dniach przeglądała, upadło na krzesło, z którego wstała szybko i poczęła załamywać ręce nad głową.

— Moja młodość! Dajcie mi moją młodość! — krzyczała znowu. — Okradziono mnie z niej, oszukanol! Twarz moja jest teraz jedną zmarszczką, serce — jedną raną. Nie żyłam jeszcze, nie żyłam wcale, a życie me już się skończyło, przeminęło! Wróćcie mi moją młodość! Moją młodość!

Placz histeryczny zdławił jej ostatnie słowa i, załamując ręce, opadła zpowrotem na krzesło. Przez chwilę staliśmy, jak skamieniali, gdy naraz za jedwabną zasłoną ozwał się cichy śmiezek idjotki i zmieszał się z przejmującym szlochem warjatkki. Mróz przebiegł po kościach. Pani Celestyna opamiętała się pierwsza, poskoczyła ku płaczącej i poczęła ją uciszać, przemawiając do niej cicho:

— Niechże się pani uspokoi, opamiętał! Niechże pani będzie rozsądna, pani Antonino! Jest ktoś, kto policzy nasze łzy i zna ilość naszych westchnień. Młodość pani wróci tam, tam, gdzie niema ani starości, ani zmartwienia. Kędy Pan nas ukoi, nas wszystkich, którzyśmy cierpieli i z poddaniem znosili Jego wolę.

— Moja młodość! Moja młodość! — powtarzała Antonina coraz ciszej, wśród zamierającego szlochu i, jakby złamana wpół, padła na kolana piersiami, skrzyżowała ramiona przed twarzą, wbijając kościste palce w siwe włosy na tyle głowy. Bez słowa kiwała się całym ciałem, a płacz bez łez wstrząsał jej członkami. W tym niemym bólu było coś jeszcze straszniejszego, niż w poprzednim jej krzyku. Aż mię coś ścisnęło za serce. Pani Celestyna klęczała teraz u jej nóg i podtrzymywała ją, szepejąc do niej od czasu do czasu: Antonino, droga Antonino! Potem skinęła nam głową, jakby prosiła, byśmy już poszli.

Na palcach zmierzaliśmy ku drzwiom.

— Mam u siebie krople uśmierzające — rzekł Rojko — czy przynieść pani?

— Nie — odparła Celestyna — nie działałyby teraz, dopiero aż się sama bardziej uspokoi. Przyjdę za chwilę po nie i dowiem się też, czybym nie mogła panu w czem usłużyć.

Odwróciła się od nas, zupełnie zajęta Antoniną.

— Jakaż to dobra kobieta, ta pani Celestyna! — rzekłem do Rojka, gdyśmy usiedli w jego pokoju.

— Prawdziwa siostra miłosierdzia!

— To jest prawdziwy typ kobiety z ludu — odparł — i więcej można takich znaleźć, na szczęście dla ludzkości, niżby się kto spodziewał. Sama wiele cierpiała, znosiła i nędzę, i ból. Jest wdową po rybaku, który zginął kędyś w Pikardji, skąd pochodzi.

Wkrótce pani Celestyna zastukała do drzwi; przysłała po obiecane krople.

— Przyszedł pan do nas w nieszczęśliwy dzień — zwróciła się do mnie. — Ta biedna Antonina niezawsze bywa taka krzykliwa. Długi czas już tego nie było. Taka była nieszczęśliwa przez całe życie. Rodzice wydali ją zamaż bardzo młodo za niekochanego człowieka. Była to zwykła stara historia, był bogaty i myśleli, że jej za-

pewnią szczęście na całe życie, jej i sobie. Sądzę nawet, że głównie chodziło im o siebie. Ale oliara jej poszła na marne. Mąż prędko przepuścił swój majątek, a jej rodzice zmarli w biedzie; nie dostawali ani grosza od brutalnego zięcia, który Antoninę terroryzował i nienawidził później, gdyż ospa i inne choroby uczyniły ją wprost szkaradną. Strawiła cały swój żywot w ciemnym kramiku przy brudnej ulicy, bez słońca i powietrza, gdzieś blisko kościoła Matki Boskiej. Mąż nie starał się o nic, a ona żywała jego i siebie. Na nieszczęście nie miała dziecka. Byłaby dla niego żyła, znalazłaby w nim radość życia i nadzieję na przyszłość i nie byłaby pielęgnowała w sobie głupiej myśli, która zczasem stała się jej «*idée fixe*», skałą, o którą rozbił się jej biedny rozum, niby łódź rybacka.

— Jakaż to była ta «*idée fixe*» — spytałem z ciekawionym.

— To dziwne, doprawdy — odparła poważnie pani Celestyna — to dziwne, ale Antonina nie uznawała nigdy swej brzydoty. Gdy była jeszcze zupełnie młodą dziewczyną, znała pewnego malarza, również bardzo młodego, i ten się zalecał do niej. Nie wiem, czy ją kochał, ona jednak podejrzewała go o to, tem bardziej, że wymalował ją w muślinowej sukience białej z różowem, w której ją zobaczył po raz pierwszy, w kapeluszu ze słomy włoskiej z różowem piórem, w trzewiczkach atlasowych, poprzewiązanych nakrzyż różowemi wstążkami na białych pończoszkach. Ten obraz podobno bardzo się podobał i był tak drogo sprzedany, że ów malarz za otrzymane pieniądze udał się na studja. Nie wracał długo i nie dał o sobie znaku życia; gdy wrócił, Antonina była już zamężna. Tę suknię schowała sobie jako drogą relikwję i pamiątkę największego szczęścia. Słyszała później wiele o tym malarzu; nabral pewnego rozgłosu i mówiono wiele o nim. Antonina w największej biedzie i poniżeniu pocieszała się tem, że on może jeszcze nie zapomniał o niej, że o niej wspomina z taką troskliwością, jak ona o nim. Będzie kiedyś jeszcze szczęśliwa, szczęśliwa, szczęśliwa! Powtarzała sobie to nieustannie, a gdy wkońcu umarł jej mąż, sądziła, że nareszcie nadejdzie chwila tego szczęścia upragnionego, wytęsknionego, a wysłużonego tem długim cierpieniem. Biedna Antonina! Napisała list do owego malarza i oznajmiła mu swe odwiedziny. Jakkolwiek nie otrzymała żadnej odpowiedzi, wybrała się przecież po kilku dniach do jego pracowni. Wyciągnęła ze starej walizki swe drogie relikwje, ubrała się w muślinową, teraz już pożółkłą, a niegdyś białą suknię, włożyła na głowę pognieciony przez nieustanne oglądanie, zakurzony kapelusz z florentyńskiej słomy, związała różowe wstążki od trzewiczków nakrzyż na białych pończochach i wzięła do ręki koszyczek z robótką, na której od tamtej pory nie zrobiła ani ściegu. Tak zjawiła się w jego pracowni, w przekwitłej młodości, w stroju, że tak powiem, zgryzionym przez czas, na ciele wynędzniałem z biedy i wieku, pomarszczona, szkaradna, śmieszna dla każdego, jeno nie dla Boga, który w tym momencie widział jej zrozpaczone i równocześnie pełne nadziei serce. Pan Bóg widział, jak zmęczona życiem, napoly oszalała, chwylała się brzegu, o który jednak nie mogła się zaczepić. Biedna Antonina! Ten malarz nie był Bogiem i widział tylko jej śmieszność, jej szaleństwo. Jego straszny śmiech, którego nie mógł powstrzymać, przebudził ją z tych mamiących snów o szczęściu. Obejrzała się wokół siebie zdumiona, przejrzała się w zwierciadle, ujrzała siebie, jaką była, i ujrzała całe swe życie straszne, zapadłe w przepaść, swą młodość niepowrotnie minioną... Otóż to jej zamaściło w głowie, pozbawiło zdrowych zmysłów... Omyłka jej polegała na tem, że oczekiwała szczęścia, że tak go pragnęła, tak niezmiernie za nim tęskniła.

— A czy pani nigdy za nim nie tęskniła? — spytałem.

— Każdy śni o niem — odparła pani Celestyna — a ja jestem Bogu wdzięczna, że doznałam kilku chwil prawdziwego szczęścia. Ale potem życie dało mi tę wielką nauczkę, że nie osiągniemy szczęścia, dopóki za niem gonimy. Poddać się, przyjmować z rezygnacją, a nawet miłować swe cierpienia — jest to jedyny sposób, który ucisza nasze żale, koi nasze rany i wiedzie na prawdziwą drogę.

— Widzę — rzekłem poniekąd niezgrabnie — że pani sama również wiele cierpiała.

— A kto z nas nie cierpiał? — odrzekła cicho z łagodną rezygnacją w tych swoich patetycznych oczach.

Tłum. Stella Olgierd.

JAROSŁAW VRCHLICKÝ

(1853—1912)

AMARUS

(Leganda klasztorna)

W klasztorze żył od dziecka między mnichy,
 Nie wiedząc, jaki miał ród, jakie miano.
 Z grzechu był zrodzon. Amarem go zwano.
 Wysoki, blade, zadumany, cichy,
 Wciąż wzrok wdół spuszczał, jakby nieznanego
 Czegoś po ziemi szukał. Lata biega.
 Wtem raz, gdy księżyc srebrzył celi kraty,
 Tak prawil Bogu: «Za mój żywot struty,
 Za umartwienia, męki, lzy pokuty
 Jednej od Ciebie upraszam zapłaty:
 Powiedz mi, kiedy umrę». Jak myśl chyża
 Nadleciał anioł, szepcąc: Nocy onej
 Zakończysz żywot, kiedy do zwieszanej
 Ponad ołtarzem lampy u stóp krzyża
 Zapomnisz dolać oleju. — Miesiące
 I lata biegły. Amarus żył smutny;
 A gdy lał olej w lampy gorejące
 Łono, tak prawil: «Teraz mój pokutny
 Podsycam żywot». I śmiał się boleśnie.

Razu pewnego, wiosennego rana,
 Przyszedł lać olej. Wtem w świątyni Pana,
 W pomroku rannym ujrzał, niby we śnie,
 Parę poklekłą u stóp Matki Boga.
 Stał za nimi cicho, boleść sroga
 Rwała mu piersi. Gdy modły skończyli,
 Wyszli, za nimi szedł Amarus w ślady,
 Dziwna tęsknota drgała w twarzy bladej;
 Stał na cmentarzu długo; w owej chwili,
 Bzu i czeremchy upojony wonią,
 Słyszał śpiew ptasząt, patrzył, jak się gonia
 Wpółśród jabłoni kwiatów dwa motyle.
 Świat w dziwnym jaśniał blasku, na mogile,
 Okrytej darnią, gdzie bezwonne kwiaty
 Sypał na włosy im, na lica, szaty,
 Siedziała para, uściskiem złączona;
 On szczęśny głowę tulił do jej łona;
 Ptak wgórze nucił im śpiew, na ich włosy
 Motyle siadły. Amarus wspomina
 Swą matkę, której ostatnia godzina
 Była dla niego początkiem żywota,
 Co jest goryczą jedną. — Krople rosy
 Błyszczą po trawie, pachnie bez, ptak śpiewa.
 Mnich wzrok zatapia w słoneczną toń złota,
 Śpiew uchem chwyta, dzisiaj nie dolewa
 Oleju w lampę, co płonęła stale.

Nazajutrz bracia, jako w rytuale,
 Przyszli i ujrzą zdumieni
 Zagasłą lampę. Amara nie było.

Tam na cmentarzu pod matki mogiłą
 Leżał bez życia, z twarzą ku zieleni
 Zwróconą — wonny kwiat nań sypią drzewa,
 Czeremchy pachną i ptak słodko śpiewa.

Tłum. Bronisław Grabowski.

NOC NA KARLSZTEJNIE

(Wyjątek)

Akt II, scena I.

Przy podniesieniu kurtyny słychać, jak dobrzmiewa w kaplicy śpiew modlitwy wieczornej coraz słabiej i słabiej, a przy jego ostatnich dźwiękach królowa Elżbieta w ubraniu w kolorach paziów p. burgrabiego wychodzi z przedpokoju i rozgląda się płochliwie wokół.

Chór (*śpiewa za drzwiami, któremi padają promienie słońca na scenę*):

Nie daj, nie daj nam zaginać,
 Lecz i w potomność zasłynąć,
 Święty Wacławie,
 Chryste olejson (*śpiew ucicha*).

Elżbieta (*wchodzi*): Już się stało. Nie można już ustąpić. Strach tłoczy me piersi. Teraz dopiero odczuwam jak zgrzeszyłam swem niedowierzaniem. Cesarz może tu być każdej chwili, a mnie siły opuszczają. O, Boże! Boże! jak wielka to męka tak gorąco i płomiennie kochać, jak ja Kocham. Zapewne mnie pozna — musi mnie poznać, jak wejdzie. Jakże będę shańbiona przed nim (*po chwili*). Ależ cóż, czyli mnie rzeczywiście kocha? Ma rację Ernest — że dla miłości ta próba jest potrzebna — czyli naodwrot — ma rację głos mego serca, które mówi, że taka próba jest grzechem przeciwko miłości? Kto mi powie prawdę? Jednak, niech będzie, jak będzie, ja Kocham i będę kochała — i okłamana! Słychać kroki — Boże, bądź ze mną! (*Idzie w tył na prawo.*)

Scena II.

Z drzwi kaplicy wychodzi Karol IV, za nim arcybiskup Ernest; Elżbieta odstępkuje aż do portjery i kłania się głęboko wchodzącemu cesarzowi.

Karol IV: Cóż to się stało naszemu Kochanemu Peszkowi? Czy jego choroba jest niebezpieczna?

Ernest: Nic nadzwyczajnego; zwykle przeziębienie, Wasza Miłość. Mam nadzieję, że już jutro będzie znowu zdrowy i chętny na twoje usługi.

Karol IV (*ze skinieniem na Elżbietę*): A zastępuje go?

Ernest: Młody Olbromowicz, syn burmistrza Nowomiejskiego. Dawno już pragnął zbliżyć się do słońca twojej wielbności.

Karol IV: Jak ty umiesz pochlebiać, miły Erneście! Z twoich ust to brzmi inaczej, niż codzienne pochlebianie próżnych i samolubnych dworzan. (*Do Elżbiety*) Więc pierwszą noc na straży, chłopcze, przed komnatą cesarza! No, nie zobaczysz tu nic nadzwyczajnego, od czego ci z ciekawości i naprężenia serce mocniej biło. Karol IV pomodli się i położy, jak ostatni wieśniak jego państwa — może bardziej zmęczony — w tem całą różnica.

Elżbieta (*kłania się głęboko, chcąc ukryć zmieszanie*): Cesarska Miłość!

Ernest: Drży cały — przeniknięty znaczeniem swego nowego urzędu.

Karol IV: Prędko się odzwyczai, miły Erneście! (*Idzie naprzód i więcej nie zwraca uwagi na Elżbietę; ta zaś podchodzi całkiem do portjery na dawne miejsce.*) No, teraz dopiero jestem w domu! (*Siada za stół, na krzesło.*) Bądź laskaw, Erneście, nalej mi trochę wina, musisz zastąpić naszego chorego cześnika.

Ernest (*nalewając*): Z radością, panie mój!

Karol IV: Teraz dobrze mi! Ale jak postąpiły prace na Karlszteinie, Erneście? Podobno podziwiał je król jerozolimski?

Ernest: Rzeczywiście zdumiewał się, oglądając dzieło twego ducha i pomysłu, a opinja jego podwójnie warta.

Karol IV: Dlaczego, miły Erneście?

Ernest: Król Piotr — to światowiec, a jeżeli go rzeczywiście zainteresowały te rzeczy święte i artystyczne, to najlepiej świadczy o ich cenie i wartości... a król rzeczywiście był zachwycony i zdumiony.

Karol IV (*pije*): To mnie bardzo cieszył! A kaplica św. Katarzyny? —

Tłum. Helena Magierowa.

JAN ŚWIĘTOPEŁK MACHAR

(ur. 1864)

MATKA HUSA

Przejrzałem dobrze ją, jest taka święta, bliska,
jakich się jeszcze dziś po wioskach dosyć chowa,
przez okno patrzy wdał, usiadłszy u ogniska,
i różnych myśli bieg roi mateńki głowa.

A żmudnej pracy trud i troska ją ugniata,
wiekiem przeredły włos okrywa wyschłe skronie,
poblady, miękki wzrok, nawykły długie lata
przy ziemi jeno tkwić, cichem zaparciem plonie.

Błagalne sploty rąk złożyła wedle łona,
albowiem czuje w niem żyć nowych chybotanie,
o przyszłych myśli dniach i o tem, co się stanie...

Wesela wspomn czas. Odbyło się w niedzielę,
na niebie siały blask spóźnione wieczornice,
gdy ucichł tan wśród lip i spokój się rozściele,
z swym mężem pierwszy raz nawiedzić szła łożnicę.

Szła, włosy zdobił kwiat, on chropowatą dłonią
ujął uściskiem dłoń, co żarkiem drzeniem jarzy,
a ognie przyszłych chwil młodą jej pierś rozplonią
i leją czerwień swą po drobnych rysach twarzy.

W domowy weszli próg, gwałtowna zaś tęsknota
i przed nieznanem strach zatarga wnętrzem duszy,
i powiał ku niej dech przyszłego snać żywota,
bo głębia czarnych izb szarość i ciemnię prószy.

W ufności i wśród próśb złożyła obie ręce
i z rozognionych warg modlitwa się wrywa,
młodzieńczą nucą pieśń chóry gdzieś tam dziewczęce
i miesza głosy swe fujarek gra piskliwa.

widzi własnych dni, miesiący, lat oddale,
pchnięte na torów szlak jednakiej szarej roli,
a mały światek jej toczy się przez te fale
bez wstrząśnień i bez drzeń, radości i niedoli.

Przy pracy pośród pól w mozole dłonie stania,
szerniała barwa lic, na czole zmarszczek ścięgi,
rozważną stała się ta płocha niegdyś łania,
błogosławieństwa blask spromienia jej zabiegi.

W letnich wieczorów zmierzch na ławach dom obsiada
poważnych niewiast krąg, co przyszły na gawędy,
o toku zwykłych spraw prowadzi się narada,
powtarza każdą wieść, która zblądziła tędy.

Jak cesarz czwartą już zaślubić miał władczynię,
jako mocarne ma ta cesarzowa ramię,
podkowy skruszy stal, a tacę w palcach zwinie,
wystarczy pięści cios, a stół napoły złamie.

Jak cesarz zbożny jest, zbudował kościół pono,
nowa świątynia zaś miedzią została kryta,
jak z Niemiec w Pragi gród sławetnie przywieziono
strzęp z Weroniki chust i kość świętego Wita.

Podczas wiosennych dni, gdy jasny błysnął dzionek,
światłem świetlistych strug świetlica cała gorze,
przy stole siedli wraz ona i jej małżonek,
by wspomnieć, jakie dziś głoszone słowo boże.

A z przypowieści wszech najbardziej ją zdumiewa
powieść o siewcy tym, co siał, a ziarnko małe
na dobry cisnął grunt, iż w pień urosło drzewa,
na którem ptactwa rój na bożą śpiewa chwałę.

Uczuciem smutku drga jej dusza litościwa,
myśląc, że sroga śmierć gorzycy ziarno stoczy
i musi snadnie umrzeć, aby stokrotne żniwa
i swą zieloną kiść do słońca nieść przezroczy.

Żywota Marji blask duszę czarował zgoła,
wzdy się wydała jej dziewica czarnowłosa
maluczką córą wsi, przez świętą wieść aniola
wzniesioną w chwały wyż nad jasność i niebiosą.

Widziała matkę w niej, do serca radość płynie
i szczęścia pyszny dar — lecz w ciężkiej jest żalobie,
śniąc o Golgoty dniach i krwawych mąk godzinie,
o, czemuż nie chciał Bóg, by wpierv spoczęła w grobie?

Miesiący zbiega czas, pierzchają lata spolem,
a jednostajność mży obłok niezmiennie szary,
mały zaś światek jej tem samym pędzi kołem,
nie znając wielkich drzeń radości ani mary.

Na pogrzeb zwykła iść, gdy zemrze kum lub krewny,
na chrzciny albo ślub, lecz próżnią dzwoni chata,
nie zabrzmi pośród izb dziecinny szczebiot rzewny
i tupot drobnych nóg, i śmiech, i płacz nie wzłata.

Płonne nadzieje snąć, kiedy wiosenne chłody
powieją mroźnym tchem po ciele dookoła,
gdy ręce marszczą się, kiedy włos rzednie młody,
opadnie jędrność biodr, zżółknieje białość czoła.

Lecz — miłościwy Bóg, bo w starym już zakonie
Izaka matce dał, więc się poczęło dziecię,
późny, jesienny kwiat na pustym wzrósł zagonie,
nadzieja jej i krew, i wszystko jej na świecie.

Śni, że się zrodzi syn, a może będzie danem,
by w służbę Boga szedł, jako ofiara czysta,
i chciała, by go zwać, wedle Chrzciciela — Janem,
by głosił święty ten boskie przybycie Chrysta.

Gdy z syna dobry ksiądz i prawy kapłan będzie,
według zakonu słów, zbożnych pokrzepi w wierze
i farę będzie miał, na wiosce gdzieś osiedzie,
ojca w nim znajdzie lud, to czasem znać pacierze

za rodzicieli swych przed boskie wzniesie trony,
a może Chrystus Pan wysłucha je łaskawie
i biednem duszom dwom w miłości niezmierzonej
jakiś poniecha kąć w niebieskich grodów sławie.

Niechby podobny był do niej w te dawne czasy,
gdy świeżą jeszcze biel na młodem licu miała
i bujny czarny włos, i oczy pełne krasy,
kiedy kędziorów splot zwiżał się wokół ciała.

PAN HYNEK ZE SZWAMBERKA

Pan Hynek ze Szwamberka,
Czech i pan poczciwy,
niemieckim kupcom długo
dawał łup straszliwy,
napadał na gościńcach
i wśród leśnej ścieżki
brał dobytek i towar,
wypróżniał im mieszk.

Wybrali się więc Niemcy
na królewskie grody,
wyliczali utraty
i w swych pocztach szkody.
Król Władysław wysłuchał,
głową przytakiwał
i porządek im ślubił,
który w Czechach bywał.

Na sąd przeto królewski
pana Hynka wzywa.
Pan Hynek się pojawia,
męstwo go okrywa,
postawa jego sucha,
ryży włos na czole,
a swem okiem głębokiem,
niby igłą, kole.

Nie zapiera, przyznaje,
słuszne Niemców skargi,
z dobytkiem lupił wozy,
które szły na targi,
przetęczał kupcom głowy,
brał pieniądze, towary,
dlatego, że chrześcijanin
i walczy dla wiary.

Niesłychanie działają
ci Niemcy zdziczali,
naszego Pana Boga
Herrgotem przezwali,
i dlatego ta nazwa,
taka jemu wroga,
w niej bowiem zbożni Czesi
nie poznają Boga.

Mówiąc to, czarne oczy
hardo toczył kołem,
król Władysław się zaśmiał
i sąd śmiał się spolem.
Król wyrzekł: Dobrze, dobrze,
z winy go rozgrzeszy
i czysty, jako dziecię,
Hynek z sądu śpieszy.

Tłum. Witold Bunikiewicz.

ALOJZY JIRÁSEK

(1851—1930)

BITWA POD WITKOWEM

(Wyjątek z powieści «Przeciw wszystkim»)

Andrzej oznajmił, co mu polecono, a hetman rozkazał, żeby brat Kunesz wyszedł za bramę. Andrzej zatoczył koniem i pognął znowu do królewskiego dworzyszca. Wrota były już narozcież otwarte, jazda «braterska» gotowa do wyjazdu. Wychudły

dowódcą, o smagłej twarzy, wystających kościach policzków, z ogoloną brodą, lecz z wielkimi siwymi wąsami, czekał w bramie na koniu, w pełnym uzbrojeniu. Zapadłe, zielonawej barwy jego oczy widziały wszystko dokoła. Trzymając w ręku nagi miecz, pochylał głowę i słuchał huczących strzałów, które się właśnie w tej chwili odezwały. Najgęstsza palba dochodziła od mostu, z Małego miasta.

Młodzieniec musiał krzyżeć, ażeby go usłyszano; ze wszystkich ulic dokoła wydierał się hałas, łomot, rzenie koni, krzyk, a ponad wszystkim górował odgłos strzałów. Kunesz, wysłuchawszy rozkazu, przyniesionego przez Andrzeja, odwrócił się natychmiast i dał znak. Wszystka «braterska» jazda, znajdująca się w królewskim dworze, wyjeżdżała z bram. Andrzej czekał na swój hufiec; przyłączył się do pierwszego szeregu i jechał przed chorągwią, powiewającą w środku oddziału. Ulice, domy, ludzie szybko cofali się wtył. «Bracia» jechali prędko. Zewsząd wołano na nich, kiwano rękami. A oni śpiewali. Te okrzyki i huczące strzały rozgrzewały krew, a najbardziej podniecała ich myśl, poco jadą i na kogo? Na tych Niemców i Węgrów, wrogów prawdy bożej, palących niewinnych ludzi i rannych jeńców.

Zanim dojechali do Porzyckiej bramy, usłyszeli za sobą hataśliwy turkot kół, głośnie szczęknięcie wozów. Andrzej obejrzał się, lecz nie widział nic, prócz szeregu za szeregiem, to «bracia» na koniach, nikło polyskujące przyłbice, smagłe, brodate i bezwągłe twarze, koszulki siatkowe i napiersniki oraz mnóstwo oszczepów. Andrzej domyślał się, że poza szeregami jezdnych ciągną przed bramę wozy, a na nich kilka armat.

Przed bramą było jednak inaczej niż wczoraj. Dzisiaj nie mogli się już posunąć tak daleko. Węgrzy i Niemcy, piesi i konni, zapełnili całe Szpitalskie pole. Zalewali je, jak powódź. W pełnym świetle parnego popołudnia błyszczały wszędzie zbroje, polyskiwała broń, pstrzyły się różnobarwne szaty, różnomaściste konie, wojska, którego zgromadziło się już ze dwadzieścia tysięcy, a jeszcze nie widać było końca szeregów. Niektóre hufce stały już w szyku bojowym, inne się ustawiały. Zastępy lekkiej kumańskiej jazdy harcowały na przodzie, zbliżając się coraz bardziej do bramy Porzyckiej.

Andrzej jechał w pierwszym szeregu, na prawo od wozów, które, turkocąc, szybko wymiły wojsko i skierowały się naprzód. Przy każdym wozie jechało na koniach po dwóch woźniców w hełmach na głowach i z tarczami na lewej ręce. Na wozach przy moździerzach stali strzelcy i tarczownicy, obok wozów koło swych dziesiątków jechali dziesiątnicy i wyższe szarże. Skoro wydostali się na czoło wojska wnet skręcili na prawo, zatrzymali wozy w ten sposób, że stały ukośnie. Wyprzężono konie, rozebrano wozy, związane je łańcuchami, spuszczone tarcice i wkrótce tabor z wozów był już gotowy do bitwy.

Andrzej ledwie spojrzał na te przygotowania. Więcej i dłużej wycęzał wzrok na prawo, gdzie woddali wznosiła się nędznie porośla, przykra spadzistość długiego, rozciągniętego wzgórze. Patrzył na kończącą ten łańcuch Witkową górę. Wszystkie oczy skierowane były w tamtą stronę na dwa sterczące urwiska. Wyzierały stamtąd wieże, a nad nimi chorągwie, nie dojrzeli jednak «bracia» nic więcej. Gwałtownie coś targnęło powietrzem. Z nieprzyjacielskiego wojska, z którego rozległ się odgłos trąb i bębnow, wyrwał się krzyk, dziki, straszny, jak burza. A nim dobrzmiał, zahuczał na nowo.

Andrzej ze swego miejsca, na prawo od wozów, ale poza ich linią, widział, jak w nieprzyjacielskim wojsku powiewają chorągiewami, proporcami, oszczepami, jak, zataczając mieczami i szabłami nad głowami, pędzą wszyscy na górę w kierunku stromego urwiska.

Po grzbiecie góry cwałował w kierunku fortecy wielki hufiec jeźdźców. Widać ich było w potężnym pędzie, nad nimi powiewające chorągwie; za jeźdźcami zaś toczyły się chmury szybko postępującej piechoty. Wszyscy jak szarańcza runęli na urwisko, na «braci», na brata Żiżkę. Andrzej znał jego siły, teraz jednak dopiero spostrzegł, jak mała jest ta garść wobec nadciągającego potopu. Co będzie! Co się tam stanie, jak da radę! Serce mu bilo, oczy płonęły gorączką, a policzki zbladły z wrażenia.

Wokoło wszyscy byli jednako wzruszeni, tając dech, milcząco wpatrywali się w górę; nikt nie dbał, co się dzieje za nimi, w mieście, nikt nie zauważył, że tam

umilkła strzelanina. Zato z góry, z tłumu napadających dochodził odgłos trąb i krzyk walki. Krzyk na górze i na dole z niemieckich i węgierskich szeregów, stojących na Szpitalskim polu. A w fortecy cicho. «Bracia» na dole milczą także; lecz w chwili, gdy nieprzyjacieli, cwałując po grzbiecie góry, dojeżdżał do murów, z których wypływały chmury białego dymu i zabrzmiały strzały, wówczas Andrzej i wszyscy za nim wrzasnęli jednym głosem: «Hrr, na nich! Hrr!»

Uradowali się, spostrzegłszy, że fala nacierających zatrzymała się. Lecz jeno na chwilę. Ztyłu dobiegał hufiec za hufcem, fala za falą. Dalsi popychali bliższych, tocząc się przez nich, jak dzikie bałwany wód do samotnej wyspy. Strzały z moździerzy zagrzmiały na nowo i chmury białego dymu przesłoniły mury. Lecz skoro się rozplynęły, widać było, że przedni mur jest ze wszystkich stron otoczony, że nieprzyjacieli nie jest odepchnięty, że się ze wszystkich stron roi od napadających. Czarno tam było od wojska; wrzask i odgłosy trąb z Witkowej góry i ze Szpitalskiego pola wzbijały się jak burza przez rozpalone powietrze pod błękitne niebo.

Andrzej nie mógł ustać; kręcił się na siodle i byłby najchętniej zawrócił z powrotem do miasta a potem popędził na górę pomagać braciom. Oglądał się na wodza, czy nie da znaku. Ale Kunesz, trzymając buławę w rękę, siedział spokojnie na koniu i patrzył w górę; obserwował nierówną walkę, ale nie w ten sposób, jak inni «bracia». Nie zapomniał o bliższym nieprzyjacieli, który stał na dole naprzeciw niego. «Bracia» w tej chwili zupełnie o niego nie dbali. Drżeli o los załogi na Witkowej górze i oglądali się na miasto, czy nie przyjdzie stamtąd pomoc.

Na murach z baszt i bram, położonych naprzeciwko Witkowej góry, patrzyli ludzie z takim samym napięciem, wzruszeniem, wkońcu z obawą. Pokazywali sobie nacierającego wroga, wykrzykiwali, w miarę zmiany i następowania po sobie wrażeń. Zaledwie zabłysła radość, już przyduszał ją smutek.

Horzej było jeszcze poza bramami. Ludzie, drżący z trwogi, stali przed domami, wyrostki biegli ku bramom. Kobiety wyrzekały i płakały z obawy, inne poklekały na ziemi, składały ręce, oczy zwracały ku niebu lub tuliły dzieci do swych piersi. Oczyma wyobraźni widziały już Krzyżowców i Węgrów, wpadających do miasta, mordujących dzieci, rozbijających domy, przelewających krew, jak czynili dotąd wszędzie, wszędzie.

Od Horską bramy pędził jakiś człowiek na targowisko siana i krzyczał:

— Ratunku! Ratunku dla braci!

A wtem zajęczał dzwon. Dzwonili do szturm. Zajękły dzwony u św. Andrzeja i na staromiejskim ratuszu. Niepojęta wrzawa rozlegała się z tych stron, wrzawa i grzmot zastępów. Kobiety zrywały się z zapyłonej ziemi, umykały z płaczem, nasłuchiwały, to znów wykrzykiwały i biadały, gdy od Horską bramy przedarł się drugi człowiek bez czapki i biegł, aż powiewały za nim włosy, krzyząc:

— Ratunku! Ratunku!

Jeszcze nie dobiegł, a już spotkał ratunek. Od strony kościoła św. Andrzeja szedł przez targowisko siana wysoki ksiądz, gołogłowy, niósł Najświętszy Sakrament; obok niego postępowało dwóch chłopców z dzwonekami w rękach. Za nimi zaś maszerował hufiec uzbrojonych w kusze żołnierzy, a następnie tłum brodatych braci taborytów, bez zbroi, tylko w czapkach i zwykłych szatach, niektórzy, mając gole szyje, nieśli berdysze lub okute cepy. Tych było najwięcej. Ksiądz szedł śpiesznie, chłopcy, postępujący obok niego, dzwoniли bezustannie, a żołnierze dążyli szybkimi, ciężkimi krokami, aż dudniało. Wszyscy śpieszyli z widocznym wzruszeniem, z płonącymi oczyma; zachęcali się wzajemnie do pośpiechu, a gdy załoga przy bramie powitała ich radosnymi okrzykami, zaczęli śpiewać. Śpiewając, wypadli za bramę i biegli na górę ku fortecy.

Pierwsza palisada była już prawie stracona.

W wilczych dolach przed fosą i w fosie gęsto leżeli ranni i zabici, ludzie i konie, zrzućeni z muru strzałami z moździerzy i strzelb. Lecz nie powstrzymało to pędzącego nurtu. Przez ciała poległych, przez ścierwa końskie pędzili nowi zdobywcy, wydając dzikie okrzyki. Powstrzymać ich było niepodobna. Piechota, złożona z Sasów, dotarła aż do okopów. Nie było czasu nabijać moździerzy, zastępujących «braciom» liczbę żołnierza.

Rozpoczęła się walka wręcz. Napastnicy zapomnieli jednak o drabinach, nie przynieśli ich z sobą. Mimo to rzucali się do fosy, żeby przyłgnąć do muru niezbyt silnej

fortyfikacji. Z murów, z Winnej wieży sypały się na nich strzały i kamienie. Sasi wpadali do fosy ranni lub powaleni w zamieszaniu i tłoku. Przez leżących parli coraz nowi i nowi, z fosy drapali się na mury, gdzie ich czekały oszczepy, berdysze i okute cepy «braci» taborytów i trzech «siostr», uderzających z dzikiem męstwem i zapamiętałych z wściekłości, okropny wrzask rozlegał się w fosie, koło murów, wokół warowni. Zawodziły trąby, jeźdźcy w zbroi popędzali nacierających, wywijali mieczami, wskazując warownię.

Szeregi atakujących rzedyły już nad fosą, najwięcej jednak ginęło ich koło murów. Lecz ubywało także i obrońców, a gdzie padło dwóch, trzech, tam znaczną stawała się luka. Najgorzej było przy Winnej wieży. Sasi oblepili ją jak osy. Koło murów, łączących wieżę z resztą fortyfikacji, było aż czarno. Z tego to miejsca wołali «bracia» o pomoc. Tylko olbrzymia «siostra», stojąca na przodzie murów, milczała, oganiając się cepem. Zawój zsunął się jej z głowy; mokre, rozpuszczone włosy przylgnęły do skroni i spoconego czoła. Zsiniała z gniewu i zmęczenia, lecz walczyła bezustannie. Cep jej zwijał się i migał nad berdyszami nieprzyjaciół, opadał, walił w tarcze, hełmy i ciała, na prawo, na lewo, świszczal w powietrzu, wywijal się, wyginał, bił, rozbijał, strzępił, mokry od krwi i czerwony.

— Siostról — krzyczeli obok. — Siostról odstęp od wieży!

— Tutaj! Tutaj!

Nie przestawała młócić ani na chwilę, nawet się nie obejrzała, tylko z zaschłego gardła wyrwał się jej dźwięk:

— Przed antychrystem wierny chrześcijanin — i waliła dalej — nie ustąpi.

Nawalnica napastników wznosiła się. Z dzikim krzykiem i graniem trąb nadbiegł nowy hufiec. Przez fosę, pełną ciał, parli już łatwiej pod mury; tam się podnosili wzajemnie, towarzysz wlaził na ramiona towarzysza, wdrapywali się przemocą na wały, których nie broniło nawet trzydziestu ludzi, i to nadmiernie już zmęczonych.

Nagle pomiędzy nimi zjawił się «brat» Żiżka, w przyłbicy, z maczugą w rękę. Krzyczał, ażeby nie ustępowali, żeby się trzymali, gdyż idzie pomoc. I sam bił nieprzyjaciół. Potem skoczył na miejsce, gdzie wylazili na mur dwaj Sasi. Jednego zepchnął tak nagle, że zwałił się, rzuciwszy tarczę, drugi jednak chwycił wodza tak mocno za nogę, że i Żiżka padł, wysunawszy nogi za mur. Wiele rąk wyciągnęło się ku niemu, usiłowali ściągnąć go do fosy, lecz on zaparł się rękami o mur i bronił z całych sił. Kilku «braci» przyskoczyło tymczasem i odrzuciło napastników. Żiżka zerwał się na równe nogi i natychmiast zaczął grzmocić nieprzyjaciół. Tymczasem nadciągnęły posiłki.

Żiżka, szedłszy z murów, wskazywał miejsca, gdzie kto ma stanąć, przynaglał do pośpiechu i wśród piekielnej wrzawy wołał do rotmistrza:

— Czy posłałście do winnicy, jak mówiłem?

Brodaty siwy brat rotmistrz w przyłbicy, ale bez pancerza, z nagim mieczem w rękę, wchodząc na mur, krzyczał:

— Posłali — wnet napadną zboku.

Wydźwignął się na mur, ale zaledwie tam stanął, rozprężył ręce, jęknął i zwałił się ciężko. Strzała utkwiała mu w piersi, krew trysnęła z głębokiej rany.

W tej chwili od południowej strony urwiska, z winnicy doszedł okropny wrzask. Usłyszawszy go, Żiżka pobiegł ile sił na szczyt wieży, wyjrzał okienkiem na prawo, skąd dobiegały okrzyki, i spostrzegł tam wielkie zamieszanie pośród wojsk nieprzyjacielskich. Zabłysły mu oczy i ulżyło na duszy. Jego hufiec wypadł z winnicy we właściwej chwili. Krzyknął tę radosną wieść braciom, pilnującym kruzganków, i znowu ile tchu popędził nadół pomiędzy walczących.

W chwilę potem od strony miasta rozległ się śpiew zbliżającej się gromady. Głos dzwonek ginał w pieśni; dzwonki te towarzyszyły hostji, niesionej w monstrancji, która połyskiwała w popołudniowym słońcu. Właśnie minęła czwarta godzina.

* * *

W tej chwili Andrzej z Hvozdną modlił się. Niezmiernie wzruszony, błagał Boga o zmiłowanie. Miał przed oczyma smutny widok. Tam na górze koło warowni roilo się od Krzyżowców. Powiewały ich proporce, rozlegał się ich krzyk i groźne trąbienie.

Nie cofali się, szli naprzód. Warowni nie było już widać, opadła jej czerwona chorągiew. Andrzej wykrzykiwał, jak zresztą wszyscy inni w szeregach; a przytem spoglądał na dowódcę, na Kuneša z Bělovic, siedzącego opodal na wielkim gniadoszu.

Siwy wódz patrzył na atak najpierw spokojnie, lecz wkrótce zaczął się mienić. Nie siedział już jak przybity na koniu, lecz kręcił głową, oglądał się na miasto i znów opierał przenikliwy wzrok na Witkowej górze lub wpatrywał się w stojących na Szpitalskim polu w szyku bojowym Niemców i Węgrów. W chwili, gdy Andrzej zaczął się modlić, a wokół niego rozlegały się okrzyki gniewu i rozpacz, zawołał Kuneš na swą drużynę, aby się miała na bacznosci, bo oto zbliża się ich chwila.

I rzeczywiście przez Szpitalskie pole pędzili dwa hufce jeźdźców, samych Węgrów. «Bracia» radośnie chwycili za broń, obnażyli miecze, pochylili kopje. Właśnie w odpowiedniej chwili nadjechali Węgrzy. Lecz nie od razu rzucili się na nich. Rozległy się strzały, z szeregu wozów zagrzmiały moździerze. Gdy się rozplął biały dym, widać było, że kule zrobiły duże spustoszenia w nieprzyjacielskich szeregach, które się pomyślały, gotowe do odwrotu. Wielu jeźdźców leżało na ziemi, z końmi i bez koni, wiele koni z jeźdźcami wyrwało się z szeregów i w dzikim poplochu biegało po polu. Wiele koni szalało bez jeźdźców.

Kuneš podniósł buławę, jakby chciał dać znak. Lecz nie dał go. Wzrok jego, jak zresztą wszystkich, utkwiał na Witkowej górze. Rozpoczęła się tam znowu wściekła walka. Zabrzmiał na nowo straszniejszy jeszcze krzyk i jęk, zawirował dzikszyszy jeszcze ruch, zwijanie się i miotanie tłumów. Andrzej zbladł.

— Niemcy pchają się do warowni! Już ją zdobyli! — wykrzykiwały wokół przerażone głosy. Andrzej i Kuneš pomyśleli jednocześnie o bracie Žižce; oto już nadszedł jego koniec.

Ruch trwa dalej, lecz w stronę odwrotną.

— Ustępują! — ktoś krzyknął; nie chcieli jednak wierzyć oczom. Wtem na wzgórzu, na samym skraju grzbietu mignął jeździec, tuż nad urwiskiem. Mignął — koń się wspiął i skoczył w przepaść. Upadli, zrywają się, lecą przykrym, stromym stokiem góry, koń i człowiek — a za nim drugi, trzeci — padają i lecą tym samym przykrym, stromym stokiem góry. To Krzyżowcy!

Na Szpitalskim polu radość; okrzyk triumfu leciał od hufca do hufca, do wozów, po wozach. A naprzeciwko w nieprzyjacielskim wojsku krzyczeli z przerażenia i wściekłości. Wszystkie oczy tkwiły na Witkowej górze, na jej urwisku. Wznosił się tam ogromny kurz; kłębiący się kurz opadał nadół, wirował. Czerniały w nim ciała, migaly, jak cienie; spadały konie i ludzie, rzucali się nadół w okropnych obrotach i koziolkach, w przeraźliwych skrętach, staczali się, lecieli. Nic ich nie mogło powstrzymać. Chyba, gdy zakurzone, skrwawione, potluczone ciało zaczęło o wielki kamień lub uwięzło w zaroślach.

A wierzchołkiem rozległych wzgórz pędzili krzyżowcy w bezładnej ucieczce, bez proporców, bez odgłosu trąb. Kuneš wyjechał na przód swego oddziału, oszołomionego radością; wskazując buławą na Witkową górę, krzyknął rozpromieniony:

— Tamci uciekają! A tych — wskazał na Węgrów i Niemców, zalegających Szpitalskie pole — odpędzimy także! W imię Pana!

Ubódł ostrogą konia, który skoczył, jak szalony. «Bracia» huknęły radośnie i pognali za nim. Pędząc, jak huragan, śpiewali:

Któż wy boży bojownicy
i zakonu jego...

grzmiało na Szpitalskim polu.

A na Witkowie trwała dzika gonitwa. Załoga Žižki, wspomóżona posiłkami z Pragi, wypadła na wrogów. Ci biegali, jak ślepi, tu i tam po urwisku. Wielu zmęczonych, jak gonione dzikie zwierzęta, padało z wysiłku i siadało na ziemi. Do obrony, do walki nie mieli sił. Ściągali więc tarcze i osłaniali niemi głowy i piersi. W rozpacz i tępe odrętwieniu czekali, kiedy uderzy okuty, straszny cep, aby roztrzaskać głowę.

Tłum. Marja Bunikiewiczowa.

OTOKAR BŘEZINA

(1868—1929)

GDY NIEBO WAM OKNA ROZJARZY

Gdy niebo wam okna rozjarzy, a żarem gorącej miłości,
gdy sploną na słońcu owoce, zrywajcie i jedzcie,
i świętą radością witajcie przesławne poselstwo wieczności,
na słowa zaś pełne miłości imieniem braci powiedzcie:

Jest radość, jakby stracona pieśń życia wyższego,
śpiewana, gdy poi omdleniem mistyczny czar wina,
jak uśmiech, płonący na twarzy śpiącego,
gdy nagle objęte nim serce o śnie zapomina.

Jest radość, jak zachwyt człowieka, co głębią dusz braci przecieka,
jak świata poczęcie, co w wieków głębinie swoje ma łożę.
Jest radość, jak przeszłość nieżywa, co w mroki odwieczne odpływa,
jak żarkie przyplwy zachodu przez czarne spienione morze,
przez czarne spienione morze,
gdzie łąka, gwiazdkami zasiana, w czarownej cichości gorze.

Chłód wionie u czasu naszego granicy, a jesień w odwzięce
rozsiewa słońc blaski przedwieczne, zakwita już róży kwiat ranem,
wołają się dusze w błękitnej radości, jak roje ptaszące,
gdy w szyki się łączą trójkątne, szybując nad oceanem.

MOJA MATKA

Przez ciernie matka szła, jak pokutnica, smutnie,
dzień stracił dla niej czar, zagasła barw ulewa,
zgorzkniały życia plód, co wysechł w proch okrutnie,
bez odpocznienia wciąż z wieczności rwała drzewa.

Ubóstwa ostry pył odzierał z krasy lice
i siekał oczy jej, aż gasły w łzach promienie,
na drodze życia siał zły samum burz wichrzyce,
schronisko wśród swych fal wznosiło jej omdlenie.

Ciężar przyémionych lat nadół jej czoło chyli,
a żrącej pracy żar przegryza nerwów pęki,
pieścila swoją śmierć w agonji ciężkiej chwili,
na ustach uśmiech żył i płynął szept podzięki.

Na wilgły marmur płyt kościoła głowę skłania
w grobowych woniach świec, co blask przed ołtarz niosą,
uciech upojnym dżdżem i wizją zmartwychwstania
życia napelnia kruż, jakoby świeżą rosą.

O, matko ma, dziś światłość cię spromienia,
złoty pocisku ty, strzelony do ogniska,
w tajemnic wieczny żar, dźwięk twego drga imienia
po wierzchu naszych fal — a wiem iżes jest bliska.

Twej martwej chłodnej krwi wybladłym jestem kwiatem,
co w cieniu oczu twych wybladłym błysnął płatkiem,
żywota cierpki smak wsączyłaś ust szkarlatem,
a smutek duszy mej dziedzictwem twem i spadkiem.

Gdy noc zielona łśni, rozświeciła mroków ciszę,
opuszczasz wtedy grób, by w moje paść ramiona,
w oddechu moim rytm oddechu twego słyszę,
gdy przejmie cię mój głos, zakwilisz przebudzona.

I ciepłem moich żył tve ciało się roznieci,
oczu przyćmionych blask w mych źrenic mrze topieli,
mistycznej wiary żar, co w duszy twojej świeci,
wtedy się w serce me gorącym blaskiem wcieli.

I tak, jak niegdyś ty, mą drogą idę smutnie,
bez woni schodzi dzień, przygasła barw ulewa,
zgorzkniały życia plód, co wysechł w proch okrutnie,
owiany cieniem twym, z wieczności zrywam drzewa.

MOTYW Z BEETHOVENA

Nie powiał w moją twarz odległych wiew stuleci,
Twych tonów był to głos pod oknem duszy mej
i wołał: pójdź — gdzie błada zorza świeci,
w złocistym deszczu gwiazd zanurzyć głowę chciej!

Wonie w ogrodach śnią, a błękit na jeziorach,
świt przyszłych andante w pąkowiach zawarł kwiat,
śni w ciepłe gniazda pieśń, a w szarych zaś przestworach
wir barw spienionych zgasł i cicho w głębię padł.

Srebrzysty obłok mgły po ziemi kładzie szale
i w jasny światła snop przedziwo tka z azbestu,
w czarnych samotniach las ucisza swoje żale,
we mchy znużony legł i spoczął bez szelestu.

Zawrotnych sklepień ćma nad świecznik gwiazd się wzniosła,
miota kosmiczny proch, ciężary kruchów swych
w przestworów szary skłon, gdzie w dalach szumią wiośła
odpływających lat. O, przemów! Czemuś zcichi?

Nie czujesz? nocy dech, narkozy pełen, nuży,
i lecą wokół nas z lekuchnym szumem sny,
a jaśminowy czar i trwożny zapach róży
wśród skrzydeł wiań sen ze swej szaty mży.

Czujesz, jak wspomnień war złą żagwią w duszę chlusta,
wstrzymane źródło sił o ściany tłąką cew,
jak pocałunków żar zapala nagle usta,
różowem światłem zaś rozbłyska w żyłach krew?

Czujesz, jak wewnętrzny żar w pigmentcie źrenic gorze,
cień łańcuch kroków rwie i precz ponosi wdal,
w komnatach duszy twej na rozmyślania łoże,
hipnozą spętana mą, jak złożył się twój żal?

Czujesz, jak własny dech, gdzie mleczne mgłą niebiosy,
zmienił się w srebro ros na niwie gwiezdnych łąk?
Jak śmierci tęskna woń i przyływ słodkiej rosy,
zwycięzna rozkosz twa i czarne wino mąk?

Jak odpocznienia sen wśród białych piersi pnączy
i nagich ramion łysk, gdy chciwie w sploty lgną,
w istoty twojej głąb burze upojeń sący,
w omdlenie zmysłów twych, co w ciężkich skuwach mra?

Pójdź! olej tonów mych nalałem w lamp kryształ,
z kamieni szklących szkliw krypta się w górę pnie,
kwiaty czarownych ziół łożnicę ci usłały,
gdy pośród woni mdlej ułożysz głowę w śnie.

Pójdź! słyszysz dzwony me? Nim żal cię znów owładnie,
co, zamion czarem, spał, serce się ocknie z gusz,
pogrzebna moja pieśń słodko-ć na usta padnie
i pocałunkiem swym wychyli życia kruż.

A rano wiecznych dni nadejdzie w skrach czerwone,
jak deszcz ognistych róż, niechbyś w tej chwili śnił,
iże w sypialni swej masz okno otworzone
i spokój rannych pień z ogrodów prószy pył.

Tłum. Witold Bunikiewicz.

ANTONI SOVA

(1864—1928)

KTO CI TAK ZBURZYŁ CIEMNE WŁOSY?

A kiedy weszła w ogród mój, to kwiecie okwitało,
na horyzoncie słońca blask zaświecił już nieśmiało.
— Czemu tak późno? — rzekłem jej — wnet jasność słońca minie,
pachnieją łąki wonią mdłą, wody zwierciadłem szarem lśnią,
a poprzez brody cienie mkną — wszystko jest tylko marną grą.

Odplnąć pragnę w dale, do wysp zielonych niosą fale,
chorągiew ściagnę z masztu i żagiel z białych płócien zwalę.
Czekałem wówczas w wiosny dniach, gdy błękit jasnem światłem drgał,
napiąłem z blasków struny, by głos twój na nich echem grał,

Więc powiedz mi, gdzieś wówczas była? I pod jakimi znów niebiosy?
I gdzieś pierwej, gdzieś żyła? Kto ci tak zburzył ciemne włosy?
Gdzie noc ci swą wygrała pieśń, gdy upał żarem dyszy,
tęskniła darmo dusza ma, stłumiona w takiej ciszy.
Teraz, gdy cień zapomnień padł, gdy się gotuję niechać świat
i precz odplnąć chciałbym rad, idziesz w mój więdnąć sad?

Dla nas już słońce nie zapłonie i nie zadzwoni gór ustronie,
nie zapachnieje nigdy łąka, śpiew brzegów naszych nie owionie.
Odplnę sam, daleko tam jesienne szumią dziwne głosy...
Chcę ujrzyć nowych królestw łąd...

Kto ci tak zburzył ciemne włosy?

MELANCHOLIJNA NIEDZIELA

Z za przymroczonych okna nisz
na rzekę biegnie moje oko,
czas pierzcha, ginie pośród cisz,
a wraz z nim myśli me się włoką.

Ślup wieczornego słońca pada,
przyływa ku mnie gdzieś z za wód,
złoci się, chwijeje i zakrada,
oblewa mnie słoneczny cud.

W melancholijny czas niedzieli,
gdybyż druhowie przybyć chcieli!

Jak dzień niedzielny zwolna ciecze,
siedzę, splątany w nić tęsknoty,
stłumiony ruch się kędyś wlecze,
i słyszę miejskich kół stukoty.

W melancholijny czas niedzieli,
gdybyż druhowie przybyć chcieli!

W powietrzu odmęt żarów drży,
ospałe życie wdole kona,
w pokoju z arabesek mgły
przeszłość gnie ku mnie swe ramiona.

W melancholijny czas niedzieli,
gdybyż druhowie przybyć chcieli!

Przezysty błękit lśni na niebie,
nad plataniną miejskich stromów,
smutek i nuda wszystko grzebie,
skrywając marność ludzkich domów.

I smutek we mnie dzisiaj mieszka,
wszystkich serc zamart dla mnie wdzięk
wiodąca ku miłości ścieżka
obrosła gąszczem, wstrząsł mną lęk.

ROZMYŚLANIA

Wiem, że słońce zachodzi w obawie przed nowym dniem,
i stary kwiat uwiędnie, nim nowy błysnie w rozkwicie,
a sny, wszystkie umilkną sny przed duszy przyszłym snem,
w świątyniach straszy Boga bóstw nowych rychłe przybycie.

I będzie cicho, tęskno i pusto, a wczoraj ukwiecony,
pójdę i poznam, że dzisiaj odkwitam już właśnie,
i zamknę moją świątynię, rozkruszę w pył moje dzwony,
a pusta będzie ma droga i światło we mnie wygaśnie.

Thum. Witold Bunikiewicz.

JERZY KARASEK ZE LVOVIC

(ur. 1871)

KURTYZANA TRYFAJNA NA AMETYSTOWEJ KAMEI PISZE DO HARMIDESA

Tak pięknam, Harmidesie, jakby upojny wid,
w ciężarze ametystów, w kosztownej grze kamieni,
obnażę ciało z szat, byś, mej nagości sył,
zobaczył, jako pierś szkarlatem się zrumieni.

Zasłonę zerwę z ócz gwałtownym ruchem rąk,
by w tobie zbudzić żar tęsknoty za mem ciałem,
chcę upaść do twych stóp, spragnionam szczęścia mąk,
z rozkoszy omdleć chcę, porwana twoim szałem.

Jutrenkę bladych lic, alabastrową twarz,
gorąco ślubić chcę z brunatnym błyskiem ciała,
z warg, tryskających krwią, pocałowanie dasz,
abym w uścisku twym, jak w barbarzyńskim, drżała.

Abyś wspominał mnie, gdy chciwy pošlesz wzrok
kochankom przyszłym w dań, na innem spocznieś łonie,
iżem odeszła wdał, a imię okrył mrok,
lecz zjawię się, gdy przesył cię owionie.

I pod twój wejde dach, gdy ranek ciemność zwiął
i jeszcze wonny dech kurtyzan dom przenika,
abyś zawołał mnie, sył nudy cudzych ciał,
o mej nagości śnił i szczęściu, które znika.

Byś z śmiechem moich ust pomieszał kruszcu złom
i róży żarką woń, co loki twe zdołała,
bym w przyszłych żądzach twych jawiła się jak grom
I, choć odległa tak, w innych dla ciebie żyła.

MILCZENIE

(Przyjacielowi, wstępującemu do klasztoru trapistów)

Nim wiecznie zmilkniesz już, pozdrawiam cię, mój bracie,
w nicość zamieniasz to, czem człek do życia lgnie,
w szarym szkaplerzu twym i w białej mnicha szacie
bolesny skrywasz los i tajemnice swe.

O Bogu myśleć chcesz i chmurnym Jego gniewie.
Flagelant, ciała grzech trapiący wciąż bez tchu,
pokornie głowę gniesz, a cicha dusza nie wie,
czem druchy twoje są i co ich wiodło tu.

Nim dźwięk pokutnych ust na zawsze czas oniemi,
zbliżyć się będzie śmierć i rozpościele łoże,
na krzyżu złożą cię w popiołach szarych ziemi.

O, bracie! w chwili tej, gdy Bóg rozjaśni ciemnie,
rozjaśnisz wrota nieb, wymówisz tęsknie może
to imię, któreś chciał zapomnieć nadaremnie.

—
Tłum. Witold Bunikiewicz.

STANISŁAW K. NEUMANN

(ur. 1875)

PIEŚNI POKOJU NIE NIOSE WAM

Pieśni pokoju nie niosę wam,
nie idę z lutnią, co mile śpiewa,
zbój zbójów, zbrodzień, burzyciel sam
do burzycielstwa pieśnią zagrzewa.

Pieśni pokoju nie niosę wam:
Dosyć leniwej krwi grzeje łoża,
dosć rąk, by wygrać niewinny kłam,
dosyć rąk bojaźń spętała boża,

w zaułki jeno, w pałace wleźć.
dosyć, za bardzo bruka się cześć!

Pieśni pokoju nie niosę wam,
nie kwilę, skomlę, lecz sławię życie.
Chcesz mnie zrozumieć: Zawrzyj swój kram,
gdzie lichą kupią kupczysz nadmiernie,
powietrza, słońca czerpnij obficie,
ujmij za różę i zabierz ciernie!

WOLNOŚĆ I CHLEB

Wolność i chleb! Trzynaście liter w rządzie!
Och, biada tym, co chcieć nie mogą więcej,
Czerwony świat socjalne śle orędzie
I w szarość dni krew tryska najgoręcej.

Chcieć więcej! Wszystko chcieć! Calutkie abecadło.
Niech śmiało liter bieg w warjantach się obraca,
Posiąść, co życie chce i co mu mieć wypadło,
Co się płomieniem zwie, gdzie rozkosz, zapal, praca.

Wolność i chleb! To wszystko mało było
I o tem jeszcze lud rozmyśla niedorzecznie.
Wszystko pragniemy mieć i to, co się wyśniło,
Nasz głód nie kończy się — czuwamy wszyscy wiecznie.

—
Tłum. Witold Bunikiewicz.

FRANCISZEK ŠRÁMEK

(ur. 1877)

RAPORT

Na lewem skrzydle, przy ostatku
dzisiaj muszę stać,
a czego chcę, nie może pojąć
żołnierska nasza brać.
Palce od siebie, pięty przy sobie,
o tobie, dziwny śnie, o tobie,
dzisiaj mam raport zdać.

— Melduję, panie kapitanie,
iż zdało mi się w śnie,
jakoby krwawa wojna była
i śmierć spotkała mnie,
a obok martwy koń twój padł,
by społem ze mną żegnać świat,
jak wola boża chce. —

— Zgwał miesiąc, było wedle rana,
koń twój rozpacznie stroszył słuch,
rzecz dziwna, mieliśmy obydwaj
wskroś przestrzelony brzuch,
a w oczach końskich smutek łkał,
ktoś patrzył w nie, ktoś pytać chciał,
ktoś ręce łamał w kruch.

Na łąkach woni koniczyna
i kwitnie w krąg rzeżucha,
a... on... koń... co przewinił, co?
Ma dziurę w środku brzucha
za to, że ktoś mu na grzbiet wlał...
Chce spojrzeć, w oczach promień zgał,
a w gardle ślina sucha.

Och, w gardle schnie, pragnąłby rzeć,
dlaczego? Nie wie już,
ukochał tak słoneczny blask
i jasną krasę róż.
Stąpienie podków nie stukota,
niebo z ołowiu, krew bluzgota...
O, tocz się, świecie, burz!

Melduję, panie kapitanie,
i pragnę dzisiaj rzec,
gdy pan chce, czy człowiek musi
w objęciach śmierci lec?
Proszę gorąco, szczerdź twe konie!
Strasznem pytaniem bydlę zionie:
Poco na śmierć nam bieć?

Tłum. Witold Bunikiewicz.

PIOTR BEZRUC

(ur. 1867)

POWRÓT

Po latach, po latach w rodziną dal
mą barkę życia wichr zwiewał,
trwożnie, jak dziewczę na pierwszy bal,
szedłem, a w słońcu kos śpiewał.

Ten stary kościół, ten czarny las,
domki na stokach snią szare,
pod brwią stała rdza wspomnień raz,
nad rzeką wierzbiny stare.

Pójdę, lecz nie wiem, gdzie drogi kres,
sprzedane pole jest nasze.
Nie gryziesz? Ach, tyś sąsiedzki pies.
Nie znasz mnie? Czemuż cię straszę?

Zdrów proboszcz? Rektor? Djabeł się krył
we mnie, zbierałem więc bicie.
Zdrów stary hrabia? Był Niemcem, był,
w spokoju niechał nam życie.

Do drogiej szkoły zbliżam się bram,
serce zalkało na nowo,
dzieci, te dzieci modlą się tam
złowrogą panów mową.

Idę na cmentarz, drogi mi był,
nie wiem już, kto tam drzemie,
ktoś napis polski na krzyżu wrył,
ktoś obcy złożon w tę ziemię.

W portalu zamku drapieżny ptak
dziób swój o skrzydło ociera.
Kto kupił włość tę, czyj to jest znak?
Giniemy — markiza Gera.

Sześć Żydów w siole, Żydem wójt nasz,
żółta strażnica u rzeki.
Czemuż, o Panie, w swym gniewie trwasz?
Czemuś nas przeklął na wieki?

Wspomnienie jedno wałęsa się,
na szyi pętłę upina
i przykrą marą zadławia mnie,
z tych gór, czy zdrowa Maryna?

W obczyźnie miły, tuż bogacz żył,
w najrzadszym tonący zbytku,
prawda, od rana do nocy pił,
miał za co ten farbiarz z Frydku.

Smutny mąż idzie od sielskich wzgórz,
wzrok drżący w brózdach niw brodzi,
za góry słońce zapadło już,
kos w wonnych polach zawodzi.

Złamany człowiek od wsiowych pól
w sercu ciężkiego coś niesie,
komiczne zmarszczki wyrył mu ból.
Nie śmieję się — aż będziesz w lesie.

Jak pies obity, tak wycbym chciał,
zdrowe ktoś ciało rozcina,
taką jedyną jam wioskę znał,
setka ich wokół Cieszyna.

—
Tłum. Witold Bunikiewicz.

OTOKAR THEER

(1880—1917)

WODA

Słodka, zdradziecka,
jak niewiast duch,
zbijasz się, falo,
w koronek puch.
Pryskaj i jęcz,
serce mi zmiekczy
pieśnią, co wabi i wzrusza!

Drapieżna w górach,
cichy twój bieg,
gdy zmywasz miasta,
zbrukany brzeg.
Weź, zabierz wdał
szlam błotnych fal,
wszystko, co ból i katusza!

Przykleknę, wezmę
chrzest twoich strug,
bym nabrał siły
i ból nieść mógł,
bym został sam,
odchodzić mam
w kraj, który śniła ma dusza

ŻYCIE PLYNIE JAKO W ŚNIE...

Życie płynie jako w śnie
tym, co z Bogiem wraz się spoją.
Godzin bieg przez duszę twoją
omamiony czarem mknie.

Stępał już na grozy słuch,
poprzez drogi, świata niwą
ręką cię prowadzi żywą
dziwotworny Boży Duch.

Dokąd cię ta strzeże dłoń,
czemiesz śmierć jest wraz z swym bólem?
Duchu Boży, lasem, polem
wiedz mnie, rządź mną, kieruj, broń!

—
Tłum. Witold Bunikiewicz.

RUDOLF MEDEK

(ur. 1890)

DZIEWIN

(Jerzemu Karaskowi ze Lvovic)

Wśród nocy urodzona, gdy pyły gwiazd żaloszne
w przepaście odlatały, a czar złośliwy padł
na serce me kipiące, widzę mą smutną wiosnę,
gdy stąpa pustą głuszą, w której nie woni kwiat.

W ciemnościach zdąża życie, a żarkie piją oczy
odwieczne nieme cisze — przeznaczeń marę złą.
Mróz żalu w krew mi płynie — ach, czyjaż twarz otoczy
mój płowy włos, kto weźmie, zagarnie krasę mą!?

Za mężem nie wyglądam! Niepokalane ciało
dojrzewać chce bez niego, kwiat biały z pustych łąk.
Lip woni chcę i rosy, by czoło się nurzało,
jako w ciemnościach ziemi zrodzony słaby pąk.

Wśród gajów chcę zatańczyć, kędy lewkonja woni,
a śnieżystych sasanek dokoła pełen bór,
wdychiwać chcę woń żywic i soków, które roni
panieńska nagość brzozy, dążącej w przestwór chmur.

I nie znam pocałunków, mężowie mi nie niosą
tych ogni, które w piersiach wzbudzają dziki szal,
wargi moje gorące poję poranną rosą,
blask słońca jutrznianego w me piersi spokój zwał.

Ku zdrojom się nachylam, w przezrystą głąb zwierciadła,
gdy usta me rozpali słońce południowych cud
i krasną twarz oglądam, gdy nieco już przybladła,
i kwiat tajemny, słodki, rosnący na dnie wód.

Wieczorem, kiedy w gajach struchlały cień migoce
i rozbrzmiewa o brzasku tłumiona gęźba pszczół,
mnie straszą chłody nocne, lęk piersi rwie sieroce,
bo wrogi gość zawitał i serce żądzą struł.

I szukam dziewczek moich, bym pocałunki piła
z ich warg, płonących żarem, którym oczy tchną,
by w mrokach ros północnych znikła pragnienia siła,
co w gardle gorze moim i w ciszy targa mną.

A kiedym w družki białych ramionach usnęła,
marzyłam o tym ogniu, co w piersiach moich wstał.
Ach! ku pomście na mężach za krwawy mieczbym wzięła,
wyznanie im cisnąwszy z wierzchołka stromych skał.

Za zdradność pocałunków, za lęki pustych nocy,
za wszelkie pogwałcenia, niewolnych kajdan brzęk,
za nieskróconą pychę, brutalną pięść przemocy,
za kłamane żale, za tęsknot trwożny jęk.

Za samotności grozę, zbudzone żądze ciała,
za bóle macierzyństwa i pogrzebanie kras,
za wszystkie zniesławienia, jakbym się pomścić chciała
za uciemień długi i nienawistny czas.

Chcę wtargnąć w obce kraje z głowniami płonącemi,
jako odwetu księżna, zwycięski wdziawszy kask,
i roznieść żary ogni kręgiem po całej ziemi,
aż niewiast ród przeklęty w słoneczny wejdzie blask.

Żal, że hańbiący ciężar im miłym przecież zda się
i wkońcu, pokonane, w jarzmo się dadzą wprząc,
w objęcia wpadną zdradne, precudne w krwawej krasie,
i po rozłące marnej ukoją żary żądz.

A ja zaś, blask promienny, z skał rzucę się w głębinę,
dziewica zawsze harda, nie zbywszy własnych dum,
i niby płaz zlocisty między kwiatami zginę,
jak gwiazda, która blednie i wpada w mroków tłum.

Thum. Witold Bunikiewicz.

PIOTR KŘIČKA

(ur. 1887)

MEDYNIA GŁOGOWSKA

Nad głową pierwsza, druga świszczę kula,
leci ich gęsty grad,
wita je żołnierz, kurczy się i wtula,
gdzieś cierpki dowcip padł.

List ojców w duchu całuję i włoski
miłej z odległych pól,
przyptyw miłości i straszliwej troski
rozlewa w sercu ból,

Piąta baterja w galopie przylata,
dziej się Twa wola, dziej!
Mateńko biedna, na los tego świata,
zahartuj duszę jej!

iż inni cierpią, a w serce się wbija
skurcz tępy, niby nóż,
i żalność, żalność, że naród mój spija
jeno goryczy kruż.

Patrz, gwiazdą będę u nas nad gęstwina,
podobny jasnej skrze
i wdali, kiedy lata przejdą, miną,
zblednę i zgasnę w mgle.

Łukaszu, Wawro, chłopcy moi mili
kędyś z morawskich stron,
szlachetni umrzem, tak jakeśmy żyli,
gdyby już nadszedł zgon...

Naprzód! I wedle rozkazu mojego
linja ruszyła wraz...
Jezusie cichy, serca pokornego,
strzeż i ulituj nas!

Tłum. Witold Bunikiewicz.

KAROL ČAPEK

(ur. 1890)

Z ŻYCIA OWADÓW

Epilog

Życie i śmierć

(Wnętrze lasu. Czarna noc. Na proscie sceny śpi włóczęga.)

Włóczęga *(budzi się ze snu):*

— Dosyc, generale! *(trzeźwieje).*

Czy spałem? Gdzie jestem? Ta okropna ciemność! Ja nie-nie-nie-widzę — nie widzę własnego palca przed oczyma. Poczworko! Poczworko!

(wstaje)

Dlaczego tak ciemno? Nie widzę na krok przed sobą. Kto mówi? Kto tu jest? *(krzyczy)* Kto tu jest? Nie, to mój własny głos! Ale czemu nic nie widzę? *(maca rękami wokół siebie)* Nic... Nic... Nic... *(krzyczy)* Czy jest coś? Czy wogóle jest coś? Przepaść, wszędzie ta straszna przepaść, na którą stronę padnę! Gdybym przynajmniej miał się o co oprzeć! Niema nic! Niema! O, Boże, boję się! Gdzie się podziało niebo? Żeby chociaż niebo zostało! Niebo, jedyny błędny ognik! Niebo, jedyne ludzkie światło! Żeby chociaż został jakiś kierunek! Gdzie jestem? *(klęka)* Boję się! Światła! Choć trochę światła!

Głos z ciemności:

Przecież światło jest. Dosyc światła.

Włóczęga *(czołga się po ziemi):*

Odrobinę światła! choć jeden promyk!

Inny głos:

Ten straszny głód! To pragnienie!

Inny głos:
 Wołam cię! Chodź! Szukam cię, wołam! Chodź!

Cienki głos:
 Pić, pić, pić...

Włóczęga:
 Na Boga, tylko isierkę światła! Co to jest? Gdzie jestem?

Głos robaka (z oddali):
 Moja kulka! Gdzie moja kulka?

Włóczęga:
 Światła!

Inny głos:
 To pragnienie! Ten głód!

Głos umierającego:
 Dobijcie mnie! Dobijcie!

Inny głos:
 Zostań moją!

Inny głos:
 Ahou, ahahou! Mam go!

Włóczęga:
 Światła! Co to jest? Aha, kamienie!

Głos:
 To pragnienie! Pragnienie!

Inny głos:
 Łaski!

Włóczęga:
 Wykrzeszę chociaż isierkę! (*Trze kamień o kamień.*) Jedną isierkę światła!
 Ostatnią isierkę!

(*Z kamienia lecą iskry. Wnętrze lasu rozjaśnia się fantastycznie.*)

Włóczęga (*podnosi się*):
 Światło!

Głosy (*oddalające się*):
 Uciekajcie, światło! Uciekajcie!

Włóczęga:
 Ach, jakże pięknie!

Głosy (*za sceną, zbliżające się*):
 Światło, światło!

Poczwarzka:
 Kto mnie woła?

Włóczęga:
 Chwała Ci, Boże! Światło!

(*Rozjaśnia się coraz bardziej i rozlega się cicha muzyka.*)

Poczwarzka:
 Na kolana, na kolana!
 Ja... ja... ja wyzwolona
 Rodzę się na świat!

Głosy (*zbliżające się*):
 Patrzcie, światło!

P o c z w a r k a:
 W bólu porodzenia
 Pękają bramy więzienia,
 Niewidziane i niesłyszane
 Faktem się stanie:
 Ja będę!

(W krąg rozjarzonego światła wpada rój jętek i tańczy.)

W ł ó c z ę g a:
 Skąd wzięłyście się, przejryste muszki?

Pierwsza jętka *(wybiega z pośród innych i wiruje):*
 O, O, O! *(zatrzymuje się)*

Jak promyk światła z mroku
 Wytrysło promienne, wieczne
 Życie jętki jednodniówki!
 Tańczcie siostry! O, O, O, O, O!

(wiruje)

Ch ó r j ę t e k:
 Krążymy całe życie!
 Tańczymy całe życie!
 Jesteśmy samo życie!
 Życie! Życie!

Pierwsza jętka *(zatrzymuje się):*
 Z melodji promieni utkane nasze skrzydła,
 Z nici złocistych, zmotanych między gwiazdami.
 Tkął je tkacz boski. Tańczymy w wszechświecie,
 My! dusze życia, zrodzone przez światło!
 Obrazy Boga, który...

(pada martwa)

Druga jętka *(występuje i wiruje):*
 ...który w nas widzi siebie!
 O, O, O! Wieczne, wieczne jest życie!

W ł ó c z ę g a *(kręci się koło niej):*
 Jak, jakże... więc — jest wieczne?

Druga jętka:
 Życ, krążyć, wirować! Z głębi wszechświata
 Odpowiada nam twórcze, bezmierne
 Wirowanie skrzydeł jętki. Dano nam
 Tajemnicze zadanie wiecznego ruchu,
 Z skrzydeł naszych płynie harmonja sfer.
 Oh, co za posłannictwo, jaka radość twórcza
 Być jętką! Życ — to znaczy wirować!
 O, O, O! *(kręci się wkoło).*

Ch ó r j ę t e k:
 Wieczne, wieczne jest życie!

W ł ó c z ę g a *(pomiędzy niemi):*
 A co za posłannictwo, jaka radość twórcza?

Ch ó r j ę t e k:
 Wirować! siostry do koła!

Druga jętka (*występuje z kota*):

Rozwińcie skrzydła! Czemże jesteśmy,
My, z najsubtelniejszych nici tkane,
Jeśli nie myślą i duszą stworzenia?
Jesteśmy przejrzyści! Nie mamy substancji ni wagi!
Jesteśmy treścią życia! Jak iskry z bożej kuźni
Wytrysłe, wielbimy... (*pada martwa*).

Włóczęga:

Patrzcie, umarła!

Trzecia jętka (*występuje z kota i wiruje*):

O, O, O! (*staje*)
Cały świat z nami krąży, dziękuje, pełen chwały,
Wielbi, tańczy i wiruje
Przed Tobą Wielki, Miłosierny, Doskonały!
Darze żywota jętek!
Radości bez oddechu, ty wieczne upojenie,
Żegnaj tańcu życia,
Tańcu ognisty, nieskończenie
Przez nas... (*pada martwa*).

Włóczęga (*podnosi ręce i kręci się wkoło*):

O, O, O!

Chór jętek:

Bądź błogosławione! bądź błogosławione!

Włóczęga:

Życie, życie, ty masz swój urok! Wszak i ja, stara, znużona mucha, kręcę się
i krzyczę: Życiel...

Chór jętek:

Bądź błogosławione! bądź błogosławione!

Włóczęga:

Pozwól nam żyć, nam wszystkim! Patrz, każdy chce żyć! Wszyscy bronią się
przed śmiercią, a każdy na swoją rękę! A gdybyśmy próbowali bronić się razem?
Bronić się przeciwko zanikowi, przeciwko śmierci!

Chór jętek:

Bądź błogosławione! bądź uwielbione!

(*Jętki jedna za drugą padają martwe.*)

Włóczęga:

Wszyscy poszlibyśmy za tobą! Wszystkie muchy i wszyscy ludzie, i myśli i dzieła,
i wodna hołota, i mrówki, i trawa, wszystko pójdzie za tobą! Lecz najpierw musimy
się pogodzić pomiędzy sobą, my, my wszystkie twory żyjące, przyłączyć się do jednego
regimentu — a ty nas prowadź, ty, życie wszechmogące!

Chór jętek:

Błogosławione życia!

Poczwarzka (*wykrzykuje przejmująco*):

Miejsca! (*rozrywa powijaki i wyskakuje jako jętka*)
Jestem!

Włóczęga (*biegnie do niej, chwytając się*):

Poczwarzka? Ty? Pokaż się! Nareszcie się urodziłaś!

Poczwarzka-jętka (*wybiega i zaczyna krążyć*):

O, O, O!

Włóczęga (*biega za nią*):

Jakto? Nic większego?

Poczwarka-jętka (*wiruje*):

O, O, O! (*staje*)

Ja głoszę władzę życia! Ja rozkazuję stworzeniu: żyj!

Oto nadeszły rządy życia! (*krąży*)

O, O, O!

Kilka ostatnich jętek:

Wieczne, wieczne jest życie! (*padają martwe*)

Poczwarka-jętka (*staje*):

Cały świat pęczniał, żeby mnie zrodzić,

I pulsował bólem. Słuchajcie, słuchajcie,

Wielkie posłannictwo niosę; zwiastuję

Niezmierne rzeczy; cicho, cicho,

Wielkie przynoszę słowa... (*pada martwa*)

Włóczęga (*klęka przy niej*):

Wstań, muszko! Dlaczego leżysz? (*podnosi ją*) Umarła! Nie żyje! Ach, miła buzia, ach, oczy jasne i przejrzyste! Umarła! Słyszysz poczwarko? Co chciałaś powiedzieć? Mów jeszcze! (*bierze ją na ręce*) Umarła! Jaka jest lekka! O, Boże, jaka piękna! Dlaczego musiała umrzeć? Co za nedorzecznosc!... Muszko! (*kładzie ją na ziemię*) Nieżywa! (*Idzie na czworakach po ziemi i ogląda martwe jętki, podnosząc im głowy.*)

I ty nie żyjesz, tanecznico! I ty, któraś tak pięknie śpiewała? I ty, choć taka młodziutka? Ach, te usteczka już się nie odezwą! Umarła! Słyszysz muszko! Żeby chociaż otworzyła oczy! Patrz, jak dobrze jest żyć! Przebudź się, ożyj! Niech będzie błogosławione życie! (*Idzie na kolanach na przód sceny.*)

Bądź błogosławione! Ha! Kto mnie dotknął? Idź precz!

(*Światło gaśnie, tylko jeden promyk pada na włóczęgę.*)

Kto tu jest? Haha, puść, puść, przejdź... przejmuję mnie mróz! Kto jesteś? (*macha ramionami w próżni*) Precz, lodowata ręko! Ja nie chcę... (*podnosi się*) Nie dotykaj! Kto jesteś? (*broni się*) Puszczaj, poco mnie dusisz? Haha, ty jesteś... poczekaj, znam cię! Ty jesteś... ty jesteś śmierć! Widziałem cię dzisiaj tylekroć razy! Ale ja nie... nie chcę... Puszczaj kościotrupie! Bezokil! Wstrętny! Ja jeszcze nie... (*walczy z próżnią*) Przestań! (*Z prawej strony czołgają się dwa ślimaki.*)

I Ślimak:

Stój, coś tu szeleści...

II Ślimak:

Więc cofnij się, ty osle!

Włóczęga (*walczy*):

Masz, zębata! Hahaha, dostałaś! (*pada na kolana*) Zostaw mnie! Nie duś tak bardzo! Zwolnij! Ja chcę tylko żyć, czy i to za dużo? (*podnosi się i odpycha próżnię rękami*) Nie dam ci życia, lotrzyco, nie dam! Masz pięścią (*pada*) Och, nadstawiasz nogę!

I Ślimak:

Słuchaj, ślimaku.

II Ślimak:

Co?

I Ślimak:

On walczy ze śmiercią.

II Ślimak:

Popatrzemy, co?

Włóczęga (*podnosi się*):

Pozwól mi żyć! Cóż ci to szkodzi? Tylko tym razem? Chociaż do jutra! Pozwól choć odetchnąć! (*walczy*) Puść! Nie duś! Ja nie chcę umierać! Tak mało użyłem życia! (*krzyczy*) Aaaach! (*pada na twarz*).

I Ślimak:

Jakie to zabawne, nieprawdaż?

II Ślimak:

Słuchaj!

I Ślimak:

Co?

II Ślimak:

On już umarł.

Włóczęga (*podnosi się na kolana*):

I leżącego dusisz, nędznico? Puszczaj, niech — wszystkim — Ja chcę... Jeszcze chwilkę... (*wstaje i zatacza się*) Pozwól... żyć! Tylko... żyć! (*krzyczy*) Nie, idź precz! Mam jeszcze tyle do powiedzenia! (*pada na kolana*) Wiem... teraz... jak... żyć!... (*pada nawznak*).

I Ślimak (*idzie pomalą naprzód*):

No, już po nim!

II Ślimak:

Jezus, Marja, co za cios! Ach, jeje! Takie nieszczęście! Czemu nas opuściłeś?

I Ślimak:

Dlaczego tak lamentujesz? To się nas nie tyczy.

II Ślimak:

Ale to taki zwyczaj, gdy kto umrze.

I Ślimak:

Tak, tak, połóżmy się.

II Ślimak:

Tak, tak, tak się dzieje na świecie.

I Ślimak:

Żeby tylko było mało ślimaków, a dużo kapusty.

II Ślimak:

Patrz, patrz, syneczku.

I Ślimak:

Co?

II Ślimak:

Ile tu martwych jętek!

I Ślimak:

Żeby chociaż były dobre do jedzenia.

II Ślimak:

Tak, tak. Więc chodźmy, dobrze?

I Ślimak:

Skoro tylko my żyjemy.

II Ślimak:

Ma się rozumieć. Mówię ci, ślimaku...

I Ślimak:

Co?

II Ślimak:

Życie jest słodkie.

I Ślimak:

O, tak! Niech żyje życie! Wiesz?

II Ślimak:

Leżmy (*włoką się za kulisy*).

I Ślimak:

Ale to było zabawne, prawda?

II Ślimak:

No tak, skoro — tylko — my — żyjemy (*znikają*).

(*Chwila ciszy. Świta. Budzą się ptaki.*)

Drwal:

(*Wychodzi z siekierą na ramieniu, spostrzega umarłego włóczęgę i pochyła się nad nim.*)

Kto to? Ojczy, słyszycie? No, ojczy, obudźcie się! Co wam? (*Wstaje, zdejmując czapkę i żegna się.*) Nieboszczyk! Biedny stary! (*po chwili*) Ma to już poza sobą.

Ciotka (*idzie z lewej strony. Niesie dziecko do chrztu*):

Dzieńdobry! Co tam macie, ojczulku?

Drwal:

Dzieńdobry, matko. Ktoś tu umarł. Jakiś włóczęga.

(*Chwila milczenia.*)

Ciotka:

Biedak.

Drwal:

A wy, matko, do chrztu? Do chrztu?

Ciotka:

To synek siostry. Szsz-szsz.

Drwal:

Jeden się rodzi, drugi umiera.

Ciotka:

I zawsze ludzi dosyć.

Drwal (*tehcce dziecko poa brode*):

Ks, ks, chłopczy! Zaczekaj, skoro wyrośniesz...

Ciotka:

Cóż, ojczy, może mu będzie lepiej, niż nam.

Drwal:

Ale co tam, jeżeli człowiek tylko ma robotę.

Uczenica (*wychodzi z prawej strony z książkami do szkoły*):

Niech będzie pochwalony...

Ciotka i drwal:

Na wieki...

(*Uczenica odchodzi.*)

Drwal:

Jakże dziś pięknie, prawda, matko? Człowiek tego nawet nie umie wypowiedzieć.

Głos uczeniicy (za sceną):

Niech będzie pochwalony...

Głos męski (za sceną):

Na wieki...

Ciotka:

A taki piękny robi się dzień!

Podróżny (wychodzi z lewej strony):

Dzieńdobry!

Drwal:

Szczęśliwy, dobry dzień!

Tłum. Marja Bunikiewiczowa.

JAROSŁAW DURYCH

(ur. 1886)

BUDZIEJOWICKA ŁĄKA

(Wyjątek)

Gorąco, bijące od pożaru, było tak wielkie, że wspaniałe, wysokie i cieniste modrzewie rozpały się aż do najwyższych gałęzi. Zakwitły w niezmiernem pięknie. Chmury błyskotliwych iskier i dymu o barwach tęczy miotaly się wśród ich koron na tle czarnego nieba, płomienie huczały, jak potoki alpejskie. W powietrzu unosiło się pełno czarodziejskich widziadeł, białych, sypiących skry, czerwonych, istne wesele szatanów, w zasłonach diamentowych, białej piękności i czarnej grozie, zdało się, że nawet dusze potępieńców na widłach i rożnach piekielnych radują się w tej chwili. A na tle tej nagłej niezwyklej uroczystości stała młoda dama.

Panowie powstali, jak zaspane tygrysy, skoro je zbudzi z drzemki nadejście młodej tygrysy, a one tłuką o ziemię swemi ciężkimi ogonami, prężąc przy ziemi potężne szyje i, jakby się bały o swoje skurczone głowy, pokazują wyszczerzone zęby.

— Z kim mamy przyjemność? — zapytał pan Sparr.

— Chciałam zobaczyć panów, o których tak dużo słyszałam. Nazwisko moje nie panom nie powie. Jestem śpiewaczką na dworze cesarza rzymskiego, a teraz jadę do Ratzbony.

— Zabawne kłamstwo w pięknych ustach pani — rzekł pan Sparr.

— Nie jest pan zbyt uprzejmy — odpowiedziała panna.

— Nigdy nie słyszano, ażeby na jakimś dworze panującym, a cóż dopiero u naszego najpobożniejszego cesarza, trzymano kobiety śpiewaczki — dowodził pan Sparr.

— Pan mnie zatem uważa za bardzo głupią — rzekła dźwięcznym głosem panna; — ale nie jestem żołnierzem.

Panowie po raz pierwszy tego dnia wybuchnęli szczerym śmiechem. Śmiał się również pan Sparr i rozkazał służbie zastawić nowe dania i napelnić dzbany.

— Dziękuję, dosyć mam jeszcze ognia — odsunęła podawane sobie wino. — A więc, jeżeli kobieta chce śpiewać w chórze w kaplicy czy kościele nie zabroni tego nikt, nawet papież ze zgromadzeniem kardynałów. Mam ubiór chłopca, w którym jest mi bardzo do twarzy, nic więcej nie potrzeba. Na dworze wiedzieli, kto jestem. Ale najjaśniejszy pan, jak wiadomo, lubi ponad wszystko piękny śpiew. Dali mi męskie imię, a moje piękne włosy ułożyli w ozdobnej szkatułce. To pierwsze. A poza tem?

Pan Sparr już z mniejszą odwagą ciągnął wywiad.

— Odkądże to podróżuje się z Wiednia do Ratzbony przez Budziejowice?

— To jest niedyskretne pytanie. Jednak odpowiem na nie. Nie śpieszę się do Ratzbony, nieprędko jeszcze zbierze się tam sejm kurfirsta. Zapytacie zapewne, dlaczego zatem już wyjechałam z Wiednia. Rezydent bawarski, Rachel, i rezydent hiszpański, hrabia Oniato, są przyczyną mej ucieczki.

— Bez paszportu?

— Lepiej bez paszportu. Inaczej nie dostałabym się tutaj.

— A poco przyjechała pani tutaj?

— Zobaczyć drogich jeńców i skazańców naszego najmiłościwszego króla. Jestem ciekawa.

— My także — roześmiał się Losy.

— Łączy nas wspólna niedola. Grozi mi niełaska u dworu — rzekła panna z niewinnym uśmiechem — przesładuje też równie grzeszna ciekawość.

— Wasza miłość — zwrócił się Losy do wojewody — zechce pozwolić mi wy badać tę osobę, a może uczyni to pan sam?

Na twarzy panny zajaśniał uśmiech kotki.

— Zachowujcie się jak u dworu! Nie przywykłam do grubych manier i muszę oszczędzać głos.

Podejrzanie, że szpieg jest przebrany eunuchem o pięknej dziewczęcej postaci, wzmagało się i przejmowało ich coraz większym niepokojem. Niepokój ten dziwił starych, zahartowanych w wojnie panów.

— Należałoby wykorzystać piękne oświetlenie — mruknął wojewoda.

W wyobraźni ich zjawiała się piękna czarodziejsko, naga i biała postać dziewczyny, jako złudna nieuchwytna mara, bo może nie jest to podstępny eunuch. I niewidzialne biesy uwiędłych żądź zdawały się potrójnym kręgiem otaczać ich siedzących, milczących i obserwujących.

Lecz służba przyniosła stół i ławy z pobliskich chałup, a pieczeń pachniała.

Jedli. Panna siedziała naprzeciwko wojewody.

— Brat waszej miłości dotąd mieszka w wiedeńskim Nowem Mieście — mówiła czystym i łagodnym głosem — ale nie ma tam tyle wolności i zabawy. Gdyby był żołnierzem, mógłby tu być razem z panem. Panu kanclerzowi Elze jest również smutno; tak smutno, że chce przejść na katolicką wiarę. A astrolog wojewody z rozpaczypredowiedział cesarzowi zwycięską bitwę.

Roześmiała się. W mgłę zarżał koń.

— Słyszałam, że bywa tu wesoło. Szkoda, że dziś nie macie więcej gości. Ale w Wiedniu jest teraz pusto i nawet najświeższe wiadomości nie rozweseliły cesarza. Rada jestem, że chociaż raz widziałam go szczęśliwym. W marcu był wesoły, dopóki go hrabia Piccolomini i markiz de Grana nie męczyli. Ale wówczas był jak małe dziecko, wszyscy się do niego uśmiechali, jakgdyby wyzdrowiał po ciężkiej chorobie. A gdy w niedzielę wiedziono go do kościoła, cóż to była za uroczystość! Działo się to wprawdzie w poście i nuncjusz Malatesta miał żałobne szaty, ale tego do śmierci nie zapomnę!

Uniesiona wspomnieniem, napiła się wina, nie zważając na uwagi panów.

— Miało to miejsce w trzecią niedzielę postu. Panowie rezydenci w kościele i na ulicy przemawiali jeden po drugim. Przywiedziono starego hrabiego Eggenberka i pana Quistenberka, i było dopiero widowisko, jak ci dwaj szybko nauczyli się radować z upadku generalissimusa. Panowie, księża i mieszczanstwo głośno wielbili Boga, dworzanie się śmiali, cesarz radował się z cesarzową, ze swym bratem i dziećmi, z królem węgierskim, jak w dniu Zmartwychwstania. Te świece, księża, dzwony, muzyka, radość! Tylko generałowie grozili cesarzowi, że odejdą, jeżeli ustąpi spełnieniu sprawiedliwości, to znaczy: odda wdowie przetrącone ciało generalissimusa i zostawi hrabiego Maksa na wolności. Ale cesarz był uległy, był wdzięczny, ręka go bolała od rozdawania łańcuchów, a język od pobożnego dziękczynienia. Świat z niebem dzieliły się jego szczęściem. Chłopców i eunuchów napominano różgą, ażeby uważnie i radośnie śpiewali, lecz któż mógł zaśpiewać cesarzowi weselej na chórze niż ja? Aż się wszyscy ogładali, uśmiechali i kiwali głowami. Szkoda, że nie można było śpiewać «Glorja»!

— Niechże nam pani zaśpiewa coś z tej mszy — prosił wojewoda.

— Niema tu organów — odparła panna, ale rozglądała się po obecnych.

Wtem najbliższy gorejący modrzew jęknął, z gałęzi jego wystrzelilo na wszystkie strony z szumem, stękaniem i dziwnym wdychaniem roztopione złoto.

Panna przelekła się, a widząc u swych nóg gorejącą gałąź, wskoczyła na stołek i na stół. Gdy się opamiętała, chciała zeskoczyć, lecz powstrzymał ją pan Losy.

— Najpierw śpiewać!

— Chętnie! Przecież to była msza za was, to jest dziękczynienie za was. Zaczęło się więc od «Kyrje». W drugiej połowie lutego cesarz nie sypiał i mizerniał. Musieliśmy śpiewać «Kyrje» bardzo smutno, chociaż był karnawał, a cesarz wzdychał, jakby się obawiał, że nie pójdzie do nieba. Ale teraz muzykanci aż podskoczyli, gdy kapelmistrz dał znak, a kapelmistrz poczerwieniał w nadziei odznaczenia. Było to zaledwie wspomnienie «Kyrje» minionych tygodni. Chłopcy śpiewali aż im pęczniały szyje, a ja trzymałam prym.

Panna umilkła i zapatrzyła się poza płonące modrzewie. Nagle poderwała się, jakby jej wyrosły skrzydła; wymknęła się Losemu.

«Kyrje elejson!»

Słowa zamieniły się w śpiew.

Panowie zdrętwieli. Dziewczęcy głos szedł w zawody z płomieniami gorejących modrzewi, ogromnie czysty i jasny. Mienił barwę z djabelnie pewną siebie śmiałością i niewinną lekkością; podniosłość i dziecięca pokora zamieniała się w dworski taniec, w triumfalną radość, w nieznośną drwinę i przerażające bluźnierstwo. Słodczy i czułości głosu towarzyszyła pozorna obojętność twarzy i czarodziejsko płonące oczy, jak gdyby Dawid tańczył przed arką lub śpiewał owcom na górach.

— A potem śpiewaliśmy «Credo». Cały dwór, panowie, duchowieństwo i lud uznawali cesarza za wszechmogącego ojca i wielbiliśmy Ducha Świętego za to, że oświecił i nakłonił najjaśniejszego pana do wydania rozkazu egzekucji generalissimusa. Kotły wirowały, trąby grzmiały radośnie, chłopcy czerwienieli, panowie się oglądali. Co za widowisko, jak się zachwycał książę Eggenberk i robił uszczęśliwioną minę, a Włosi patrzyli na niego, jak zle i złośliwe psy, pan Quistenberk ocierał pot, a biskup Antoni, mający coś także z generalissimusem, kręcił zawzięcie młynek, siedząc obok tronu kardynała Pozmanini. A cesarz się modlił i modlił, król węgierski obracał się co chwila, tylko cesarzowa siedziała jak obraz pychy. Przy responsoriach śpiewaliśmy najjaśniejszemu panu:

«Et cum spiritu tuo!»

Głos panny zabrzmiał, jak srebrna trąbka obozowa. Służba zbliżyła się do stołu, zaciekawiona, co za przedziwne nabożeństwo się tu odbywa.

— Patrzyłam nadół. Ileż tam było świec, dymu, chorągwi i żerdzi; przyglądałam się, czy na żerdziach nie tkwią głowy, ucięte rebeljantom. Aż ćmiło oczy. Ale przyszła prefacja i kardynał zaśpiewał:

«Gratias agamus Domino Deo nostro!»

Głos panny umilkł, bo sama zasłuchała się w echo tych słów. Panowie katolicy i ci, którzy rozumieli po łacinie, zadrżeli. Panna nie potrzebowała robić żadnych uwag. Wszystko powiedział jej głos. Dziękujemy Panu Bogu naszemu za to, że generał, rozdarty i połamany, leży w prostej trumnie, że jego pomocnicy są pokłuci niezliczonymi ranami, a jeden z nich zagrzebany pod szubienicą, że przeszło stu ludzi zamknięto, a co najważniejsze, że miljonowe posiadłości przeszły, chociaż tylko pozornie, do rąk cesarza.

— A my zaśpiewaliśmy: «Dignum et justum est!»! Ale śpiewakom uwiązł głos w gardle, tylko mój śpiew rozbrzmiał w kościele, aż się król węgierski roześmiał. A potem kardynał śpiewał. — — —

Panna usiłowała naśladować ciężki i poważny głos pobożnego i oddanego cesarzowi kardynała Pozmanini. Okrutną pobożność wyniosłych morderców znalazła w jej gardle straszliwie wierny oddźwięk. Śpiew jej wywoływał wszystkich djabłów, okropne potwory piekieł, powietrza i bagien, całą okazałość i wspaniałość Kościoła, dworu, państwa, kadzidla, złota i przepychu. Głos jej malował rozgorączkowane, groźne i namiętne twarze wszystkich tych ludzi, krzesał ich spojrzenia, drwiące uśmiechy, myśli i żądze, opowiadał o ich ciemnej pobożności, zachowywał echa drwin, bluźnierstw i niedowiarstwa, o których wszędzie obecnym djabłom nawet się nie śniło.

— Potem kardynał zamilkł, a dukaty generalissimusa zadzwoniły: Cink! Cink! Cink! Wówczas wszystko oszalało z radości, a myśmy zaśpiewali: «Sanctus». — — — Podniecona twarz panny była bluźnierczo piękna.

— To jest naprawdę kobieta! — rzekł pan pułkownik Losy.

Nikt już w to nie wątpił.

Śpiewała «Sanctus». Pan Mohr z Waldu ukrył twarz w dłoniach, a dziki Losy płakał, hrabia Schaffgotsch zgrzytał zębami. Tego, co wywoływał śpiew dziewczyny, niepodobna było znieść. Pan Sparr zarył palce we włosy, a panu z Valdštejna zrobiło się niedobrze. Gdy śpiew upodabniał się do wdzięcznej melodji tanecznej, panna schyliła się, podniosła kraj sukni i z niezmiernym wdziękiem staniała się, jak w starodawnym liturgicznym tańcu. Tylko oczy jej straciły niewinną przejrzystość i stuletnie jaszczury spoglądały z nich na przerażonych panów.

Wtem zbliżyli się urzędnicy królewskiego miasta z pochodniami i pacholkami z halabardami, pełni zgorzenia i gniewu. Z pewnością sami byli oczarowani i czekali końca śpiewu, czy dlatego, żeby snadniej uchwycić pannę, czy też, ażeby nie zepsuć przedwcześnie widowiska piekielnego, lecz pięknego. Pierwszy z nich wystąpił przed wojewodę i mówił gorliwie, dając ostre rozkazy uzbrojonym ludziom. Śpiewaczka stała na stole i patrzyła na niego z góry, przemila, delikatna i niewinna. Biegli też studzy panów i zdawało się, że dojdzie do walki pomiędzy jeńcami a wiernymi sługami najjaśniejszego pana. Panowie milczeli posepnie, pogardzając niebezpieczeństwem; widać było, iż nie usłuchają i raczej sami chwycą za broń. Radni miejscy wściekali się z rozpacz.

Nagle wybuchnął zamierający płomień, coś zajęczało i, nim ludzie z miasta zdolali się opamiętać, piekielne moce ukazały swą siłę. Drugie dogorywające drzewo zwało się z wielkim rozmachem do stóp drabów, a płonące gałęzie rozsypały się tak szeroko, że ludzie z miasta zaczęli uciekać, żegnając się krzyżem świętym i nie odważając się obejrzeć:

— Hosanna, hosanna, hosanna in excelsis!

I ręce panny podniosły się w górę ku ciemności.

Światło przygasało, śpiewaczka zeskokczyła ze swego chóru, zdawała się być zmęczona. Służba przyskoczyła i nalewała wino. Wszak była tu kobieta. Prawda, przyjeżdżały tu często damy w pięknych koczach aż z Pragi i grzeszyło się tak, że budziejowiccy mieszczanie chętnie zapłaciliby haracz wojennemu sądowi, żeby się pozbyć tego nieznośnego zgorzenia. Ale ta panna przyszła chyba od Jego Cesarskiej Mości Szatana, niosąc ze sobą smutek, wydobyty z najgłębszego dna piekielnych czeluści.

Śpiewaczka sama naląła sobie wina, a panowie poszli za jej przykładem, jakby zamroczeni. Jeszcze unosił się w powietrzu szum smoczycich skrzydeł tego straszego głosu, tego przerażającego okrzyku:

— Hosanna, hosanna, hosanna in excelsis!

Ten głos już nigdy nie ucichnie.

Tłum. Marja Bunikiewiczowa.

Wybór tekstów i układ Witolda Bunikiewicza.